NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura Ungra w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 3 Lutego 1906 r. Nr. 5.

Barykady w szpitalu.

(Treść na stronie 2).



Barykady w szpitalu.

(Do illustracyi tytułowej).

Mało kogo to zdziwiło, że za przykładem Moskwy, tłumy robotników w Hamburgu, domagaiąc się reformy wyborczej, rzuciły się niedawno temu do budowania barykad. Wprawdzie zniknęły one równie prędko z ulic Hamburga, jak mało czasu było potrzeba na ich wzniesienie. Ale nikt nie wątpi, że po tej próbie powtórzyć się mogą niebawem w różnych wielkich miastach niemieckich i nie niemieckich podobne, może silniejsze wybuchy socyalne. Takie już bowiem czasy nastały, a oliwy do ognia dodaje w całej Europie rewolucya rosyjska. — Prawdziwą jednak sensacyę wywołała naraz wiadomość o walce na barykadach... w szpitalu. A były to barykady prawdziwe, walka wrzała na nich gorąca, wzniosły je zaś i walczyły z poza nich same niewiasty i to „wesołe", jakkolwiek bardzo nieszczęśliwe, dziewczęta z „ćwierćświatka". Choćby kto nawet nie czytał w dziennikach o tem wydarzeniu, a znał Lwów, — napewne domyśliłby się, że podobna historya może dotyczyć jedynie lwowskiego szpitala powszechnego, gdzie kobiecy oddział chorób wenerycznych jest na wskróś rewolucyjnym terenem i gdzie co pewien czas ponawiają się głośne awantury. Ostatnim razem przybrały one rozmiary zaiste niezwykłe... O co poszło? Zarząd szpitala postanowił sześć najhałaśliwszych z pozostających w leczeniu kobiet oddać do ukarania policyi, czemu te nie chciały się tak łatwo poddać. Gdy służba przyszła po nie, zastała drzwi zamknięte i wewnątrz zabarykadowane od dołu po sam sufit łóżkami, szafkami nocnemi, krzesłami, sienikami itp. Jednocześnie wszczęły wszystkie, na tym oddziale pozostające kobiety, tak piekielny pisk i hałas, że zaalarmowały nietylko cały szpital, ale i okolicę, zwłaszcza, że zaczęły one wyrzucać przez okna na ulicę zapalone wiechcie słomy z sienników. Wokoło sądzono, że wybuchł pożar w szpitalu, a sama służba, w obawie wzniecenia istotnego ognia, musiała z innych okien wodą z hydrantów zlewać płonącą słomę i o ile możności, „rewolucyonistkom" tusz sprawiać obfity, zanim nie przybyła zawezwana telefonicznie policya. Wówczas drzwi wyrąbano siekierami i usunięto przemocą barykady, z poza których broniły się namiętnie nowoczesne „amazonki". Sześć kobiet, które miano odstawić na policyę, zdemolowało dosłownie całą salę, a przez cały czas awantury chorzy na innych oddziałach przeżyli chwile wielkiej trwogi. Awantura — z której epizod przedstawia nasza rycina tytułowa — ściągnęła przed szpital ogromne zbiegowisko, w którem uczestniczyło szczególniej dużo „alfonsów", a to nasuwa podejrzenie, iż całą historyę z góry ułożono i inspirowano z zewnątrz.



Nowa szkoła T. S. L.: Poseł sejmowy, dr. Adolf Wurst, przewodniczący Koła T. S. L. w Kałuszu.



Fot. Czesław Kulewski w Warszawie.

Tajemniczy wybuch w pałacu Zamoyskich w Warszawie: Ruiny dwóch domów przy pl. Bankowym, zniszczonych przez eksplozyę, zdjęte w godzinę po wypadku.

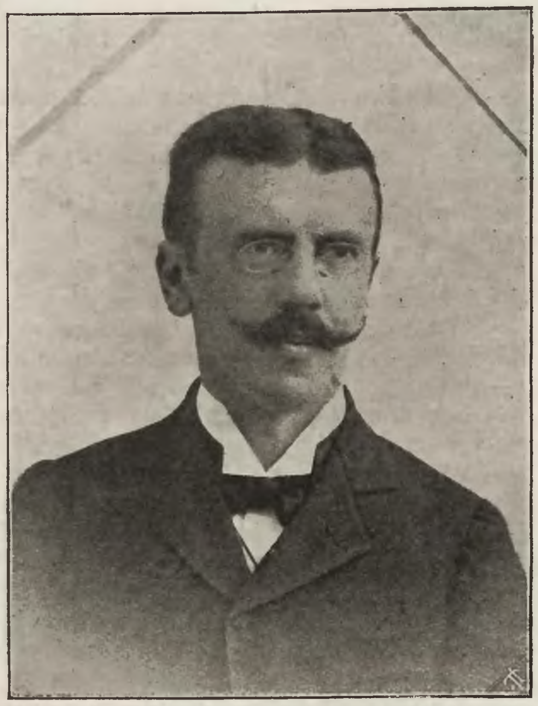
Nowa szkoła T. S. L.

Polska ludność wieśniacza w powiecie kałuskim to przeważnie żywioł mazurski, narażony na wynarodowienie przez Rusinów. Dlatego przed dziesiątkiem lat założono w Kałuszu Koło miejscowe Tow. Szkoły Ludowej. Ożywiło się ono pod umiejętnem kierownictwem posła sejmowego dr. Wursta, (którego portret obok podajemy), a owocem tej pracy jest wyobrażona w niniejszym numerze „Nowości" szkoła im. Tad. Kościuszki w Kopenkach. Kosztem 8000 koron, dzięki staraniom dr. Wursta, ofiarności publicznej i życzliwej pomocy Zarządu Głównego T. S. L. w Krakowie, stanął nowy posterunek oświaty narodowej. Uroczyste otwarcie tej szkoły odbyło się niedawno przy niezwykle licznym udziale inteligencyi kałuskiej. Aktu poświęcenia dokonał ks. Bielski z Kałusza. Dr. Wurst imieniem T. S. L. oddał szkołę ludności miejscowej do użytku, wzywając ją do strzeżenia mowy rodzinnej i wiary. W podobnym duchu przemówił gorąco dr. Wizenberg w imieniu Sokoła kałuskiego, który w uroczystości gremialny wziął udział.

Włościanin Sz. złożył Towarzystwu Szkoły Ludowej i posłowi dr. Wurstowi serdeczną podzię-



Nowa szkoła T. S. L.: Uroczyste otwarcie szkoły polskiej im. Kościuszki w Kopenkach pod Kałuszem.



Nowy wynalazek polskiego uczonego: Wynalazca dr. Zdzisław Stanecki we Lwowie.

kę, prosząc o dalszą opiekę nad ludem polskim w tych stronach. Podniosłą uroczystość zakończył odczyt pana Humla o Kościuszce, patronie nowej szkoły.

Budynek szkolny murowany, kryty dachówką, obszerny, pomieścił salę szkolną oraz mieszkanie nauczyciela. Na rycinie, wzdłuż budynku szkolnego zgromadzona dziatwa szkolna, lud okoliczny, goście z Kałusza oraz zastęp Sokołów z posłem dr. Wurstem w pośrodku.

Towarzystwo Szkoły Ludowej zapisało nową kartę w dziele swych wysiłków narodowych i kulturalnych. Odpowiedzią społeczeństwa na to, niech będzie powszechna, choćby groszowa ofiarność na rzecz tak nam potrzebnych, nowych szkół kresowych.

Tajemniczy wybuch w pałacu Błękitnym.

Zapowiadany oddawna uroczysty dzień strejku ogólnego ku uczczeniu pierwszej rocznicy krwawych wypadków 22 stycznia z. r. w Petersburgu — rozpoczął się w Warszawie równie niespodzianym, jak zagadkowym wybuchem w lewem skrzydle frontowem pałacu Zamoyskich przy ul. Senatorskiej i sąsiadującym z nim o ścianę dwupiętrowym domu.

Siła wybuchu była tak straszliwą z impetem w górę skierowanym, że wyrwany został cały frontowy złom pałacowy, jak i sąsiedni domu Szwedego od fundamentów aż do wysokości dachu. We wszystkich domach sąsiednich oraz dalej położonym gmachu Banku Państwa wyleciały prawie wszystkie szyby z przeraźliwym dźwiękiem na bruk. Nie było czasu zoryentować się w pierwszej chwili popłochu, gdy wtem wybuchnął pożar, niszcząc pozostałe resztki. Przywołana straż pożarna z niemałym trudem zdołała go umiejscowić i ugasić, przyczem zarazem odszukano ofiary wybuchu w ludziach, które mi zajęły się na miejscu przybyłe dwie karetki pogotowia ratunkowego. Ofiar jest sześć.

Zniszczone zupełnie i w kupę gruzów zamienione są: sklep z lampami Szwedego i pracownia krawiecka Chazanowa; znajdujące się nad sklepami mieszkania prywatne p. p. Henryka Neumana i Bogusławskiej uległy też zupełnemu zniszczeniu.

Miejsce wypadku zagadkowego otoczono silnym oddziałem piechoty i patrolami konnymi. Załączona illustracya, podług wybornego zdjęcia zakładu fotograficznego p. Kulewskiego, przedstawia ruinę obu domów tak, jak się przedstawiała w godzinę po wypadku, kiedy oddalenie się straży pożarnej umożliwiło już dostęp dla zdjęcia. Same rozmiary zniszczenia dają pojęcie o sile wybuchu, którego przyczyną miało być nagromadzenie gazu świetlnego w pokojach kantoru Szwedego i zapalenie wśród tego przez stróża zapałki.

Wersyi tej przeczy jednak stanowczo naoczny świadek i ofiara wybuchu, sam stróż, który twierdzi, iż działo już dobrze, kiedy wchodził do kantoru, a zatem nie potrzebował świecić zapałki dla rozwidnienia, a tak samo nie miał papierosa w ręku. Również nie poczuł on wcale zapachu ulatującego gazu, ani w pakamerze, ani w sali pierwszej, napełnionej towarem, a dopiero gdy przechodził do ostatniego pokoju, przylegającego do sklepu Chazanowa i pociągnął za klamkę, nastąpił straszliwy wybuch, który odrzucił go z taką siłą, że nie pamięta w pierwszem oszołomieniu, w jaki sposób znalazł się odrazu aż na podwórzu, gdzie istotnie znaleziono go leżącego.

Tak samo i długoletni robotnicy firmy oświetlenia Szwedego zapewniają, iż, jak zwykle czyniono we wszystkie święta, przed zamknięciem magazynów, szczelnie pozakręcano krany od gazometru, przecinające wszelki dopływ gazu nawet do niegasnących palników.

Wreszcie i oględziny inspekcyi gazowej i badania śledcze z urzędu nie stwierdziły, czy powodem wybuchu jest eksplozya gazu, gdyż wszystkie ślady pierwotnego umiejscowienia wybuchu zniszczył i zatarł pożar.

Przyszłość może rozświecić zagadkowy ten wybuch.

Siedziba ordynacyi Zamoyskich, której część zniszczył straszliwy, a niewyjaśniony wybuch, znana jest pod nazwą „Pałacu Błękitnego“. Nazwa ta zaś pochodzi z czasów, gdy sam korpus pałacu tego wystawił król August Mocny dla córki swojej, hrabiny Orzelskiej — w ciągu stu dni zaledwie, przy pomocy licznej rzeszy rzemieślników i zebranego z dóbr królewskich chłopstwa. Warszawa po dziś dzień nazywa siedzibę Zamoyskich przy ul. Senatorskiej „Pałacem Błękitnym“.

Bejot.

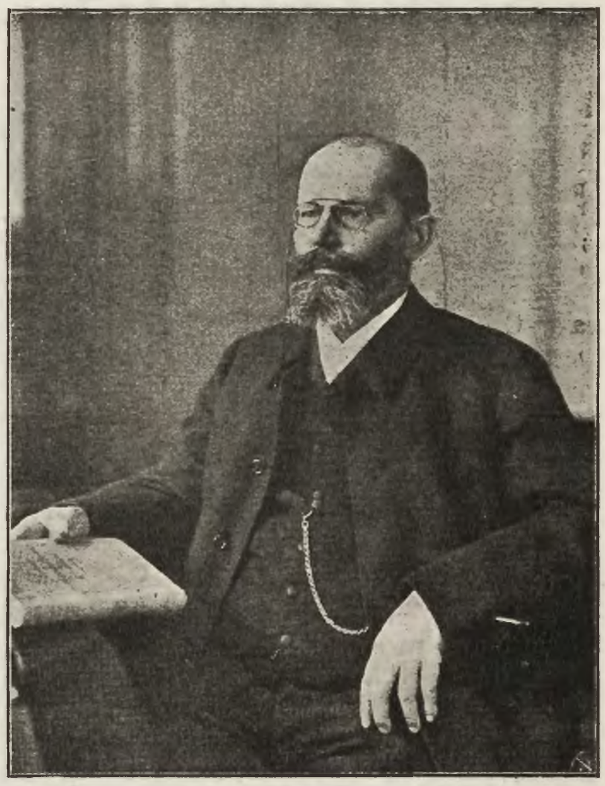
Nowy wynalazek polskiego uczonego.

Powstała we Lwowie nowa placówka przemysłu krajowego: fabryka akumulatorów systemu dr. Zdzisława Staneckiego, (którego portret widzą czytelnicy obok).

Wynalazca ich, człowiek w sile wieku, syn zasłużonego uczonego, ukończył we Lwowie wydział filozoficzny, gdzie zyskał stopień doktora filozofii. Przez czas krótki był nauczycielem w gimnazyum, poczem został asystentem prof. Dzieślewskiego na politechnice. Studya swe uzupełnił dr. Stanecki w Brukseli. W czasie praktycznych studyów w pracowni prof. Dzieślewskiego, obmyślił dr. Stanecki nowy system produkcyi akumulatorów, który po wielu próbach opatentował, a obecnie otworzył fabrykę tych akumulatorów, na razie na małą skalę, w 5 ubikacyach przy ul. Kopernika. Jest jednak nadzieja, że z tych skromnych zaczątków powstanie w niedalekiej przyszłości poważny zakład przemysłowy, tem bardziej, że zalety wynalazku dr. Staneckiego zostały przez siły fachowe w zupełności uznane. Akumulatory dr. Staneckiego bowiem, choć sporządzone ze składników tych samych, co akumulatory innych systemów, przewyższają je znacznie pod wielu względami. Pojemność ich mianowicie jest znacznie większa, są bardzo lekkie, a wyrób ich jest niezmiernie prosty, łatwy i szybki. Niemałą wreszcie ich zaletą jest wielka taniość.

Znalazły one już praktyczne zastosowanie w miejskiej centrali elektrycznej we Lwowie, gdzie założono tzw. wyrównawczą bateryę akumulatorów systemu dr. Staneckiego, a dotychczas poczynione z nimi doświadczenia wykazały dodatnie zalety wynalazku polskiego uczonego.

Przed tygodniem odbyło się uroczyste otwarcie i poświęcenie nowej fabryki przy udziale wielu techników, reprezentanta miasta, dziennikarzy i przyjaciół rodziny Staneckich. Był też w dniu tym obecnym ten, który obywatelskim swym krokiem — udzieleniem potrzebnych na cel ten funduszów — umożliwił otwarcie fabryki, komisarz pow. p. Łempicki. Piękny krok tego człowieka zasługuje ze wszech miar na publiczne podniesienie.

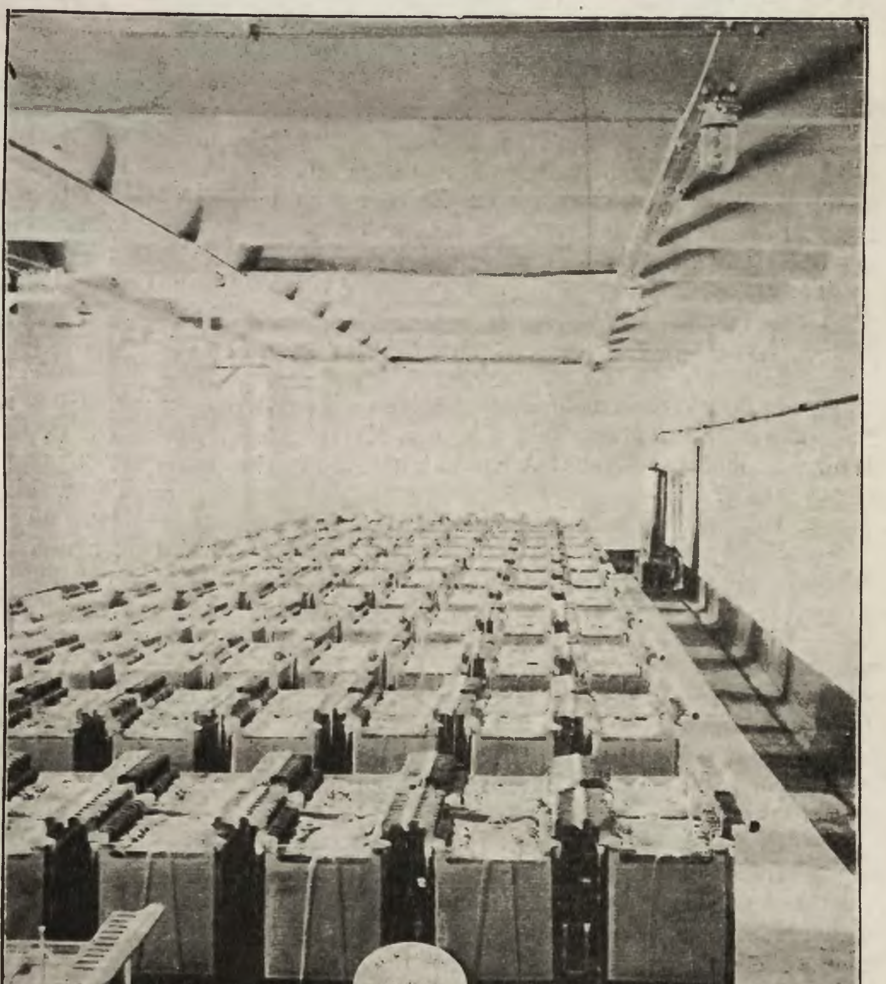


Sztuczne białko: Prof. Dr. Emil Fischer, uczony niemiecki, któremu powiodło się wytworzyć sztuczne białko.

(Do artykułu na stronie 6.)

* * *

W numerze dzisiejszym zamieszczamy zdjęcie fotograficzne bateryi akumulatorów tego nowego systemu, znajdującej się w miejskim zakładzie elektrycznym we Lwowie.



Nowy wynalazek polskiego uczonego: Baterya akumulatorów systemu dra Zdzisława Staneckiego, w miejskim zakładzie elektrycznym we Lwowie.

BOJOWNICY.

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

ARTUR GRUSZECKI.

36 (Ciąg dalszy).

— Moja towarzyszka — wskazał na Olgę — ma w Grodzisku, w zakładzie leczniczym, krewnego, wypuszczonego świeżo za kaucyą z cytadeli.

— Za co siedział? — spytał z żywością.

— Agitował wśród ludu.

— Hm... to zasługa... cóż dalej?

— Chcieliśmy mu dać pewne wskazówki, tak co do niego, jak i jego kolegów. Lecz na dworcu w Warszawie rotmistrz żandarmeryi, który prowadził śledztwo, znając panią dobrze, dostrzegł ją i jedzie na przeszpiegi.

— Cóż tak złego? — uśmiechnął się — pojedziecie innym razem, a teraz wrócicie.

— Nie tak łatwo i nie tak gładko — rzekł Bolek — musimy usunąć podejrzenie, że jedziemy do niego.

— I cóż wymyśliliście?

— Towarzyszka moja powie mu, że szuka mieszkania letniego dla swej przyjaciółki Heleny Borwicz i ta widocznie spóźniła się na pociąg, naprawdę, gdyż ona wcale nie przyjedzie do Grodziska, rozumie pan?

— To jasne, jedźmy dalej.

— I musimy pozbyć się towarzystwa rotmistrza.

— Ho, ho... sam rotmistrz jedzie za wami?! To nie przelewki... Zatem chcecie się pozbyć rotmistrza i bardzo słusznie. Ale w jaki sposób?

— Do tego szanowny pan jest nam potrzebny.

— Ja? — zaśmiał się wesoło — jeśli tylko idzie o wystrychnięcie go na dudka, jestem zawsze gotów. Mów pan dalej.

— Pan jest wujem panny Heleny Borwicz, przyjaciółki panny Olgi Wojtyrskiej...

— Zaraz... muszę spamiętać: otóż jestem wujem panny Heleny Borwiczówny... przyjaciółki panny Olgi Wojtyrskiej... hm... myślałem, że jesteście małżeństwem w miodowym miesiącu — uśmiechnął się — bo spoglądaliście czule na siebie od samej Warszawy.

Olga zaczerwieniła się i szepnęła:

— My narzeczeni.

— A, to najcudowniejsza epoka w życiu i pomogę wam szczerze pozbyć się natręta.

— Więc pan jako wuj i panna Olga narzekacie na zawód, zrobiony przez Helenę, a ja jestem bliski kuzyn pana, np. siostrzeniec, nazywam się Bolesław Żalecki — wstał i podał rękę.

Towarzysz podróży zatrzymał jego rękę w swojej i zapytał:

— Czy syn Marcelka z Kąsinek?

— Tak jest, to mój ojciec.

— A, dobrodzieju mój — ucałował go głośno — toś ty syn mego przyjaciela i kolegi Marcelka!... Dobryś chłop! Daj pyska! A co z bratem Adolfem? Gospodaruje?

— Tak jest... i miło mi spotkać...

— Bez tych form pańskich... jestem Zenon Żyłajski... słyszałeś o mnie?

— A, pan Zenon... pamiętam z dzieciństwa.

— Byłem u was, byłem.. szkoda mi Marcelka, prawa to dusza była i twardy Polak... no i to syn... z narzeczoną — zdjął kapelusz i ucałował rękę Olgi.

— Mogę mówić o szczęściu, gdy w takiej chwili spotkałem pana — rzekł Bolek — otóż, co do tego żandarma...

— Dajże spokój, chłopcze, już ja to załatwię... nie nowina dla mnie spotykać się z nimi. Jaka szkoda, że żona mi choruje, nie mogę was ugościć u siebie... ale to nic... posiedzimy na dworcu i poznamy się bliżej.

— A pamięta szanowny pan, że jest wujem panny Heleny...

— Borwiczównej, przyjaciółki panny Olgi, a pan moim siostrzeńcem — śmiał się — doczekałem się ładnej rodziny, bo pani bardzo ładna, a moja siostrzenica jaka? czy podobna do pani?

— Niższa, szatynka, ale ładna, wesoła, miła, była na chemii w uniwersytecie — objaśniał Bolek.

— Ho, ho, ho! Na chemii?! Dawajcież ją, niechże ją uściskam!

— Może i przyjedzie kiedyś, a pan gdzie mieszka stale?

— Grodziski obywatel ze mnie, mam tu willę, taką chałupę krakowską modą.

— Toś pan posesyonat — zaśmiał się Bolek.

— Dyabła tam! Pracuję jako urzędnik, a chałupa obdłużona.

Pociąg minął las pod Grodziskiem, a Żyłajski, wskazując palcem, dodał:

— Tam, ten biały dom z filarkami, w ogrodzie, tam mieszkam. Pełno tu wody podskórnej, aż do piwnic przesącza się...

Pociąg zwolnił biegu i po chwili stanął, a Bolek szepnął:

— Że my po słowie z Olgą, to tajemnica!

— Rozumiem... a teraz baczność!

Pierwszy zeszedł z wagonu i z ugrzecznieniem podał rękę prawą wysiadającej Oldze, trzymając w lewej torbę podróżną.

Zeskoczył i Żalecki, spojrzawszy wpierw na tył pociągu i ujrzał rotmistrza, przypatrującego się Oldze z wielką uwagą. We troje kierowali się zwolna ku dworcowi stacyi. Żalecki rzucił okiem nieznacznie w bok i szepnął:

— Zbliża się do nas... odważnie... Olgo.

Z uśmiechem skinęła mu głową.

Podszedł rotmistrz z grzecznym ukłonem, ze słodkim uśmiechem:

— Co za niespodzianka! Ledwie oczom wierzyłem, widząc tu panią! — podał rękę do uścisku.

Dwaj towarzysze Olgi spojrzeli na niego chmurnie i zwolnili kroku.

— Pozwolicie, panowie — patrzał na nich — że przedstawię się, łączy nas wspólna nasza znajoma panna Olga Wojtyrska.

Żyłajski szybko przerzucił torbę w prawą rękę, lewą podniósł do kapelusza i rzekł tonem obojętnym:

— Żyłajski... przepraszam, że ręki nie podaję, ale zajęta — podniósł torbę.

Rotmistrz lekko pobladł, uśmiechnął się z przymusem i cofnął rękę:

— Zaraz poznać żonatego... ze sprawunkami do domu — a zwracając się do drugiego towarzysza Olgi:

— Rotmistrz Bolcew — lecz ręki nie wyciągnął, widząc, że Żalecki prawą ręką przytrzymuje kapelusz.

— Żalecki.

Szli dalej, a Żyłajski narzekał:

— Tak to zawsze z tą Helenką, przyrzekła, obiecała i niema jej. Tylko panna Olga umie dotrzymać słowa, gdybym był młodszy, zakochałbym się w pani, zawsze to powtarzam Bolkowi — uśmiechnął się do Żaleckiego.

— Zdaje mi się, panie Żyłajski, że my się znamy — odezwał się rotmistrz.

— Hm... ja z panem? Możliwe... lecz od pięciu lat nie byłem w śledztwie.

— Właśnie przed pięciu laty — zaśmiał się rotmistrz — byłem u pana... zdaje mi się w sprawie listy składek na Skarb narodowy. o ile pamiętam.

— Tak, tak... ale to był młody porucznik — patrzał na żandarma — nie pan chyba.

— Właśnie ja nim byłem.

— Ho, ho, ho! musiał się pan dobrze zasłużyć, kiedy teraz już pan rotmistrzem.

— To zwykły awans.

— Hm... niech i tak będzie... Otóż moi młodzi państwo, zanim was do siebie poproszę... tu przetrącimy cokolwiek.

— I może zaczekamy na Helenkę — doradziła Olga.

— Na Helenkę?... No, zapewne, jeśli się nie znudzimy.

Weszli na salę letnią, werandową i zmierzali do stolika większego, gdy rotmistrz rzekł tonem prośby.

— Pozwólcie państwo, że przysiądę się do waszego stolika, czekam tu na znajomego. Samemu nudno i zawsze weselej w towarzystwie.

— Jeśli pan chce... proszę, siadaj pan z nami.

Olga dotychczas, czy to u ojca, czy u ciotki, a również w towarzystwach, w których bywała, widziała zawsze wielką uprzejmość, chęć przypodobania się, a nawet do pewnego stopnia służalczość, względem osób, zajmujących wyższe, wpływowe stanowiska i ciągłą obawę przed możliwem prześladowaniem i karą za niewłaściwe zachowanie się lub niedostateczną uległość. A dzisiaj, jakiś urzędnik, posiadający obdłużoną willę, nie podaje ręki, nie zaprasza i ledwie raczy pozwolić, by przysiadł się do wspólnego stołu w restauracyi.

Odczuwała u obu nietylko niechęć i lekceważenie, ale źle maskowaną pogardę. Niemal żal jej było rotmistrza, bo odczuwała, ile cierpiała jego duma i ambicya i wiedziała, że tylko dla niej ponosi tę ofiarę.

Nadbiegł lokaj restauracyjny, a Żyłajski rozkazywał:

— Dasz, Franciszku, dwie wódki... może pani pozwoli słodkiej — a na odm wny znak — zatem dwie, chyba, że pan rotmistrz także wypije. w takim razie...

— Dziękuję panu. ja sam powiem. co ma mi podać usługujący.

— Więc pan odmawia.... zatem dwie wódki, zakąska i co macie w kuchni?

— W tej chwili... *a wasze wysokobłagorodie czto prykażete?* — zwrócił się z powagą do rotmistrza.

— Wódkę, przekąskę. piwo i coś gorącego.

— *Siej czas!* — i z uśmiechem przyjaznym — zaraz przyniosę dla panów.

— Więc pani, panno Olgo, przyjechała tu do znajomej, a jej niema.

— Tak jest. Moja koleżanka, panna Helena Borwiczówna zrobiła zawód nietylko mnie. ale i wujowi — wskazała oczyma.

— To jednak dziwne, że ona nie przyjechała, a państwo spotkaliście się — powiedział z ukrytą ironią.

— Nic dziwnego — zawołał Żyłajski — Helenka zawsze się spaźnia, a słowną jest tylko panna Olga.

— No. i pan... jeśli się nie mylę, Żalecki — uśmiechnął się z lekką ironią.

— Wyprawiłem go sam po pannę Olgę i przyszli też razem

— A dlaczegóż nie poszedł po pannę Helenę?

— Bo mu nie kazałem... co zresztą to pana interesuje? — wzruszył ramionami — to nie jest polityczna sprawa — zaśmiał się.

Służący wniósł wódkę, przekąskę i meldował, co jest gotowego w kuchni. Wybrano potrawy, a rotmistrz spytał:

— Czy wolno wiedzieć, panno Olgo. jaki interes, wspólny z panią, miała jej koleżanka?

— Najpierw odwiedzić wuja swego, a następnie osądzić z panną Olgą, czy pokój będzie dobry dla niej — odpowiedział dosyć szorstko Żyłajski.

— Aha... rozumiem i dlatego wybrała się pani razem z panem Żaleckim — zaśmiał się cicho.

— Razem z nim, albo ze mną? Ki dyabeł! Jesteśmy w restauracyi, nie na śledztwie... chyba, że pan każesz nas aresztować i możesz pan to zrobić prawem kaduka. No, zdrowie nasze, Bolku! — i trącił się pełną szklanką piwa.

— Panie Żyłajski, czego pan się irytujesz? Ja jestem spokojny.

— Nie dowierzam ja temu spokojowi — mruknął — ale niechaj tam. Że też nie podaje jedzenia — zadzwonił ostro.

— Już niosę... idę — zawołał z głębi Franciszek, przynosząc potrawy zamówione.

Jedli. Rotmistrz, który nieustannie obserwował Żaleckiego, zwrócił się do niego:

— Czy wolno wiedzieć, czem się pan zajmuje?

— Jestem chemikiem.

— A, to pięknie... studyował pan u nas, czy zagranicą chemię?

— Za granicą.

— A pan tutejszy poddany, czy zagraniczny?

— Jestem Polakiem.

— No tak... ale poddaństwo?

— Czuję się wszędzie u siebie, czy tu, czy w Galicyi, czy w Poznańskiem.

— Więc pan należy do Wszechpolaków? — uśmiechnął się złośliwie.

— Tak, jak pan do wszechrosyan.

— To nie jest odpowiedź.

— Czy będzie zaprotokołowana? — zaśmiał się drwiąco.

Rotmistrz poczerwieniał, czuł. że traci urok wobec Olgi, a ratując się, dodał:

— Panowie macie mnie ciągle za żandarma, a ja taki człowiek, jak i wy.

— Tylko inny — mruknął Żyłajski.

— Sam rząd podzielił nas na dwie nierówne części — uśmiechnął się Bolek — większość, to my, jesteśmy bez praw, mniejszość, to pan, posiadacie wszystkie przywileje; i jakże pan może żądać równości?

— Że też wy, panowie Polacy, zawsze i wszędzie mówicie tylko o polityce — uśmiechnął się rotmistrz — zostawmy na boku drażliwe sprawy, a bawmy się, jak ludzie z ludźmi. Czy nie tak, panno Olgo?

Ona jednak pod wpływem tonu rozmowy, nie chciała się nagiąć do form, zachowywanych u ciotki i rumieniąc się z lekka:

— Trudno nam się bawić. gdy mamy ręce

i nogi związane, usta zakneblowane. Zabawa staje się męką.

Spojrzał na nią bardziej zdziwiony, aniżeli zgorszony i mówił łagodnie:

— A któż wam, Polakom, broni chodzić, mówić. Wszystko wolno, byle był spokój.

— Byle spokój był... cmentarny — uśmiechnął się Bolek z goryczą.

— Ależ wy panowie drażliwi — rzekł tonem pobłażliwej grzeczności.

— Bo też mamy przez was na-gniot-ki wszędzie — podkreślił Żyłajski sylabę „gniot" i zaśmiał się z przymusem.

Rotmistrz postanowił, ze względu na Olgę, pozyskać sympatyę, jeśli już nie ich, to przynajmniej Olgi i uderzył w strunę liberalizmu:

— Rząd na kresach musi być, w interesie bezpieczeństwa państwa, trochę surowszy, to rzecz łatwa do zrozumienia, ale sam widzę i uznaję, że administracya posuwa się za daleko, krępuje rozwój tego pięknego kraju... ale wiem na pewno, że jak tylko wojna skończy się pomyślnie, rząd zamyśla o reformach daleko sięgających; zapewne wprowadzi ziemstwa, miejski samorząd i ustaną narzekania na nagniotki — zaśmiał się z uprzejmą przyjaźnią.

— To może będzie kiedyś... a ja za długo żyję, abym w reformy bez widocznych faktów uwierzył... ale to, co jest dzisiaj, widzimy i czujemy, a że nam źle, każdy bezstronny przyzna.

— Nie składajcie, panowie, całej winy na rząd, przecież książę Imeretyński miał jaknajlepsze zamiary dla kraju, a za jego właśnie czasów zaczął się ruch socyalny, który otwarcie głosi niepodległość Polski i oderwanie od państwa. Miałem sposobność kilkakrotnie mówić o tem z panną Olgą — uśmiechnął się do niej — i zdaje mi się, że dość dokładnie objaśniłem ich przewrotne zasady i dążenia.

— Coś, piąte przez dziesiąte, słyszałem i ja o tym ruchu, ale tylko dzięki temu, że rząd prześladuje tę drobną garstkę marzycieli.

— Marzycieli?! — uśmiechnął się drwiąco — oni się organizują w bandy, mają swoje hasła, swój rząd i wydają swoje pismo w samem centrum władzy rządowej.

— Nic o tem nie wiem, pierwszy raz słyszę, a ty Bolku, a pani, panno Olgo?

— Ja nic nie wiem, chociaż mieszkam w Warszawie.

— Tylko ja jedna wiem dobrze o tem, a nawet czytałam to pismo — zaśmiała się, a widząc groźną minę Żyłajskiego, dodała szybko — dzięki panu rotmistrzowi.

Żyłajski rozjaśnił twarz i spytał z żywością:

— Więc naprawdę wychodzi pismo, no, proszę i to w Warszawie... dziw nad dziwy, że nie wykryto sprawców.

— Przyjdzie i na to czas — uśmiechnął się rotmistrz — ze spiskami, jak z owocami; póki młode i świeże, trzyma się na drzewie, a jak dojrzeje, samo wpada nam w ręce. Mam trochę doświadczenia.

Nadjechał pociąg z Warszawy, wyszli na peron w poszukiwaniach Heleny i nagle, z końcowych wagonów, wysiadła Helena, a spostrzegłszy Olgę i Załeckiego, szła uśmiechnięta ku nim.

— Czy to oczekiwana koleżanka? — spytał rotmistrz.

— Nie, to nie Helena — i podszedłszy kilka kroków, wyciągnęła rękę na powitanie, ścisnęła znacząco — a, i pani tutaj — mówiła głośno — właśnie czekamy na moją koleżankę — zwróciła się w stronę o jakie dwa kroki stojących mężczyzn. — Prawdopodobnie spotkamy się jeszcze...

— Będzie mi bardzo miło — z miną damy dystyngowanej skinęła głową Helena i wraz z Walczakiem poszła dalej.

— Kiedy niema Heleny — zaczął Żyłajski — pani sama obejrzy pokój dla niej i odpoczniecie u mnie chwilę. Bolka, naturalnie, zatrzymuję, a pani nie dałaby się uprosić do pozostania?

— Nie, w żaden sposób nie mogę. Kiedy odchodzi pociąg do Warszawy?

— Jeden o trzeciej, ale tym pani nie puszczę, drugi o szóstej wieczorem, trzeci po ósmej, a czwarty około dziesiątej, może pani wybierać...

— Pojadę chyba o szóstej...

— Jeśli znudzi się pani — zaśmiał się Żyłajski — bo przy zabawie może dopiero o dziesiątej?

— Tak, i to możliwe — dodała Olga.

— Zatem nie traćmy czasu i jedźmy, bo to dobry kawałek drogi — powiedział Żyłajski — tylko wezmę swoją torbę, bo w niej lekarstwo dla żony.

— Natychmiast przyniosę — ofiarował się Bolek.

— Gdybym wiedział — rzekł rotmistrz do Olgi — że pani pojedzie o szóstej, zaczekałbym.

— Prawdopodobnie pojadę, ale zaręczyć nie mogę... bo kto wie — zwróciła się do Żyłajskiego — a może Helenka przyjechała i czeka nas u pana?

— Możliwe i to, ale bardzo wątpię... zresztą wkrótce się przekonamy... Bolek niesie już torbę... jedziemy!

Skłonił się kapeluszem rotmistrzowi bez podania ręki, co zrobił i Załecki.

Gdy byli już na wózku, oboje niemal jednocześnie zaczęli mu dziękować za wybawienie ich z kłopotu.

— Dajcież mi spokój... każdy zrobiłby to samo... no, a jak z tym krewnym pani w zakładzie leczniczym? — uśmiechnął się pod wąsem.

Olga zarumieniła się leciutko i milczała.

— To widzi szanowny pan — zaczął Bolek — jest taka rzecz...

— Że chciałem starego naciągnąć — zaśmiał się wesoło — nie umiesz kłamać *„lege artis"*. Widziałem, że wy kochacie się, no, a rotmistrzowi oczy wyłażą, jak patrzy na panią... także zachciewa mu się polskiej dziewczyny... a niedoczekanie jego!



....Żyłajski szybko przerzucił torbę w prawą rękę, lewą podniósł do kapelusza i rzekł tonem obojętnym: Żyłajski.... przepraszam, że ręki nie podaję, ale zajęta....

— Upokarza to mnie, że on stara się o mnie — westchnęła Olga — ale tak wypadło, że nie mogę wprost odrzucić.

— To nie bywaj, panno, pomiędzy nimi, ma pani dobrą nauczkę.

— Panna Olga musiała go widzieć — stanął w jej obronie — a ile znosi z tego powodu, dość, że pilnował jej kroków.

— Oho! No, jeśli ty, Bolku, ją usprawiedliwiasz, to niewczesne były moje słowa.

— Że też pan nie poznał swej siostrzenicy — zaśmiała się Olga.

— Więc ta ładniutka osóbka, to moja siostrzenica? — zawołał — zatem niesłusznie narzekałem na jej niesłowność. A gdzie oni poszli?

— Nie wiem.

— Hej! — krzyknął na furmana — zawróć popod park, może ich spotkamy.

Bolek, który znał dawniej Grodzisk, gdy ujrzał aleję ze starych drzew, zaczął objaśniać:

— Widzicie, Olgo, ta aleja prowadzi do pałacyku i jest tam na lipie figura.

— Teraz już niema — rzekł Żyłajski — część parku zdołano rozparcelować i ludziska pobudowali domy.

— Szkoda, taki był ładny tu zakątek — westchnął Bolek.

— Socyalista cieszyłby się z przemiany wielkiej, nieproduktywnej własności na drobną — odezwała się Olga.

— Ale, ale — zawołał Żyłajski — czy możecie mi pożyczyć „Wolności", bo tylko jeden numer czytałem, a chciałbym bardzo, bo poprostu imponują mi ci straceńcy, którzy pod bokiem policyi, żandarmeryi urządzili sobie drukarnię i dalejże wydawać.

— Czy przysłać panu do Grodziska? — spytał Bolek.

— Nie... tu są ciekawi... ale dam adres warszawski — poszukał biletu i napisał.

— Otóż i oni — zawołała Olga.

O jakie pięćdziesiąt kroków szła Helena z Walczakiem, a widząc nadjeżdżających, przyspieszyli kroku.

— Radzę wam rozmówić się cicho i krótko — rzekł Żyłajski — ja nawet nie wysiądę. Umówcie się o miejsce spotkania, np. w tym lesie, na lewo, pod linią kolejową, niedaleko Milanówka... bo prawdopodobnie rotmistrz kazał was śledzić.

Konie stanęły, Olga zeskoczyła, a Bolka zatrzymał Żyłajski.

— Przywitacie się później... on furmana rozpyta o was.

Gdy Olga wsiadła, rozkazał:

— Jedź do mnie! — a ciszej dodał — wstąpicie na chwilę... żona mi choruje... pójdziecie do ogrodu, a potem... zobaczymy zresztą... i żadnych głośnych gawęd.

Bryczka stanęła przed białym, ładnym domem i do nóg gospodarza przypadł ładny, czarny, żółto podpalany gordon ceter:

— *As!...* Cicho, nie szczekaj!... *As!* to nasi! — śmiał się do psa.

— Kiedy państwo każą przyjechać? — spytał furman.

— Dojdę pieszo, nie trzeba — odpowiedziała Olga — ktoś mnie odprowadzi, nieprawdaż?

— Wszyscy, panno Olgo, wszyscy!

Furman wrócił na stacyę i w tej chwili zjawił się podoficer i spytał:

— Gdzie odwiozłeś tych państwa?

— Do pana Żyłajskiego.

— Spotkali kogo w drodze?

— Jakiegoś pana i panią, ale z bryczki zeszła tylko pani i pogadała z nimi krótko, panowie siedzieli na bryczce.

— Kiedy kazali ci przyjechać?

— Ta panna czy pani powiedziała, że pieszo przyjdzie, a panowie ją odprowadzą.

Podoficer poszedł z raportem do rotmistrza, a ten wysłuchawszy, zwrócił się do furmana:

— Ty poznasz tę panią i młodego?

— Poznam... dobrze widziałem.

— Słuchaj! — skinął na przechodzącego żandarma, który podszedł i stanął wyprężony. — Widz ałeś tę panią i tego młodego pana, którzy ze mną jedli śniadanie?

— Tak jest.

— Poznasz?

— Wśród stu innych.

— Pójdziesz zaraz do Milanówka... albo nie... pojedziesz do Milanówka i tam będziesz do jutra rana, do pierwszego pociągu. Uważaj bacznie, czy nie wsiędą, zanotujesz kiedy i kto. Rozumiesz?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Sztuczne białko.

(Do illustracyi na stronicy 3).

Materyalną podstawą wszelkiego bytu organicznego, substancyą stanowiącą zasadniczą treść wszelkiej tkanki organicznej, materyą życia, że się tak wyrazimy, jest protoplazma, czyli zaródź. Co do składu chemicznego, zaródź należy do ciał białkowatych, tak, że nazwano ją białkiem ożywionem. Wykrycie tworzenia się białka w protoplaźmie i wykrycie przemian, jakie protoplazma przechodzi, jest dla nauki rzeczą ogromnej wagi. Wiadomo bowiem, że organizm potrzebuje koniecznie do utrzymania życia białka, a białko to dotychczas jedynie rośliny wytwarzały. Jeżeli więc to niezbędne do życia białko można będzie sztucznie ze składników wytwarzać, to w stosunkach gospodarczych nastąpi przewrót, którego doniosłości na razie nawet przewidzieć nie można. Chociażby bowiem białko, sztucznie wytworzone, nie odpowiadało zupełnie swoim składem białku naturlnemu, ale posiadało tęsamą wartość odżywczą, to dla organizmu byłoby to rzeczą obojętną. Organizm z małem wytężeniem sił przerabiałby je na białko naturalne, potrzebne to budowy ciała.

Budowa ciał białkowatych jest nadzwyczaj skomplikowaną, badanie ich przedstawiało więc dotychczas ogromne trudności. Z chemików, którzy się badaniem białka zajmowali, na pierwszem miejscu stoi dr. Emil Fischer, który wraz z całym zastępem uczniów wykonał szereg prac, dążących do odsłonięcia tajemnicy, z czego się składa białko. Profesor Fischer zastosował nową metodę, zapomocą której udało mu się rozszczepić drobinę białka, przez co otrzymał najpierw ciała o składzie prostszym, ale jeszcze nader skomplikowanym, mianowicie tak zwane albumosy i peptony. Późniéj rozszczepienie to udało mu się przeprowadzić energiczniej; drobinę białka podzielił na cały szereg ciał, które poddał specyalnym badaniom, a niektóre z nich, poznawszy je dokładnie, zdołał ze składników chemicznie wytworzyć.

Na posiedzeniu Towarzystwa Chemicznego w Berlinie dnia 6 stycznia przedłożył dr. Fischer nowe swoje prace na tem polu, a mianowicie tak nazwane przez siebie „polypeptidy“, ciała, zbliżone swą budową do peptonów, które udało mu się drogą chemiczną wytworzyć. Ciała te posiadają tę własność wspólną z peptonami, że ferment, zawarty w soku żołądkowym, rozszczepia je taksamo, jak peptony, co jest jasnym dowodem, że są prawdziwemi ciałami białkowemi, ponieważ sok żołądkowy na inne ciała zupełnie nie oddziaływa.

Pierwszy krok na drodze sztucznego wytwarzania białka został więc już zrobiony. Jeżeli pracena tem polu powiodą się i jeżeli prof. Fischerowi uda się wytworzyć chemicznie ciało białkowe, będzie to miało wielką doniosłość praktyczną, bo wyzwoli życie ludzi i zwierząt od zależności od świata roślinnego, który dotychczas sam jeden związki mineralne w organiczne zamieniał. Stoimy więc wobec nowych, doniosłych postępów nauki, które z biegiem czasu wywołać mogą wielkie przewroty nawet na polu ekonomicznem.

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy dziś portret dr. Emila Fischera, którym, z powodu jego epokowego odkrycia interesuje się cały świat cywilizowany.



Gość z Moskwy: Aleksander Lednicki, adwokat moskiewski i polski działacz polityczny w Rosyi, którego odczyty w Krakowie wywołały nadzwyczajne zajęcie ogółu.

Gość z Moskwy.

Zaiste miłego gościa mieliśmy przez kilka dni w Krakowie. Był nim rodak nasz z Moskwy, Aleksander Lednicki, wybitny adwokat tamtejszy i działacz polityczny, który niewątpliwie odegra niebawem rolę pierwszorzędną w polityce rosyjskiej. Indywidualność to niezwykła. Człowiek niezależny, bardzo zamożny, właściciel paru domów w Moskwie i wsi pod Moskwą, prowadzi wielką kancelaryą adwokacką, która niesie kilkadziesiąt tysięcy rubli rocznego dochodu, a spraw swoich w sądach broni świetnie, jako nader utalentowany prawnik i znakomity mówca.

Był on najwymowniejszym rzecznikiem spraw polskich na kongresach rosyjskich i inicyatorem zjazdu polsko-rosyjskiego w Moskwie. Obecnie bawiąc za granicą, gościł na krótko w Zakopanem i w Krakowie, gdzie podejmowano go nader serdecznie, zwłaszcza w krakowskim Klubie Słowiańskim, którego duszą jest prof. Zdziechowski. Skorzystało z jego pobytu wśród nas krakowskie Koło Związku pomocy narodowej, którego prezes prof. A. Sokołowski i sekretarz red. Jan Grzywiński, uprosili mecenasa Lednickiego o wygłoszenie publicznego odczytu na powiększenie funduszów Koła, utrzymującego setki wychodźców politycznych z Rosyi i z Królestwa. Odczyt ten wywołał w Krakowie nadzwyczajne zajęcie ze względu na osobę prelegenta i na temat. Znakomity znawca bowiem tamtejszych stosunków mówił o stronnictwach politycznych w Rosyi. Toteż obszerna sala Saska wypełniła się po same brzegi doborową publicznością, wśród której przeważały panie, a w szczególności bawiący dziś tak licznie w naszych murach goście z Królestwa i z prowincyj zabranych. Na estradzie zjawił się człowiek jeszcze młody, rosły, barczysty, wykwintny, o smagłej twarzy, rysach ostrych — jak widzimy na załączonym obok portrecie — znamionujących energię, brunet z czarnym zarostem; a przemawiał swobodnie i potoczyście, z werwą, językiem pięknym, pełnym zajmujących zwrotów krasomówczych. W jasnem, a wielkie wykształcenie polityczne znamionującem przemówieniu zarysował prelegent nietylko kształty stronnictw politycznych, jakie pod wpływem ostatnich wydarzeń wytworzyły się w Rosyi, lecz nadto oświetlił cały ruch wolnościowy i rewolucyjny, oraz stosunek tych partyj do sprawy polskiej. Przeszedł po kolei wszystkie partye, od najbardziej reakcyjnych poczynając, aż do najskrajniejszych, których dziełem było zmobilizowanie warstw robotniczych i zorganizowanie strejków politycznych. Największe zajęcie obudziły wywody mówcy o stronnictwie demokratyczno-konstytucyjnem, które przyjęło do swego programu autonomię Polski; ono właśnie jest w Rosyi partyą, na którą Polacy będą mogli liczyć w przyszłej Dumie; ono głównie przyczyniło się do postawienia sprawy polskiej na porządku dziennym, do wszechstronnego omówienia jej na kongresach i zjeździe polsko-rosyjskim w Moskwie, a uchwalenie autonomii Królestwa na kongresie moskiewskim miało na celu przygotować rosyjską opinię publiczną. Prelegent zakończył wyrażeniem nadziei, że lubo w Rosyi sytuacya jest dziś krytyczną i chociaż stoi ona w przededniu powszechnego bankructwa, a na wiosnę spodziewane są stokroć niż dotąd groźniejsze rozruchy agrarne i głód, jakiego jeszcze nie było, bo prawdopodobnie chłop nie będzie ani siał, ani orał — jednakże niepodobna przypuścić, aby ruch rewolucyjny nie osiągnął zamierzonego rezultatu. Jeżeli nawet w Du-



Fot. M. Munz, Lwów.

Konna policya we Lwowie: Oddział lwowskiej policyi konnej z porucznikiem Podrackim w środku.



Balet warszawski: Kazimiera Nowacka.

mie stronnictwa rządowe będą miały większość, to rewolucya wzmoże się na zewnątrz; jeżeli zaś do Dumy wejdą żywioły opozycyjne, to stanie się ona właśnie — rewolucyjną.

Idea wolnościowa musi zwyciężyć, a wtedy Rosya stanie się federacyjnym związkiem ludów, wspólnie gwarantujących sobie wolność.

Konna policya we Lwowie.

Idąc za przykładem wielkich miast europejskich, zaprowadzono we Lwowie przed kilku laty konną policyę. Pociągnęło to za sobą znacznie większy wydatek miasta na straż bezpieczeństwa, ale magistrat wolał płacić więcej, a mieć zapewnione bezpieczeństwo mienia i życia obywateli. Z wzrostem miasta zmniejsza się bowiem prawie zawsze bezpieczeństwo mieszkańców, a zmniejsza się z tej przyczyny, że wielkie miasta są zazwyczaj istną wylęgarnią indywiduów, żyjących z dnia na dzień, owych szumowin społecznych, trudniących się rozbojem i kradzieżą, a zapełniających zwykle wielkomiejskie więzienia, o ile się dostaną w ręce sprawiedliwości. Policya piesza nie jest w stanie zapewnić obywatelom bezpieczeństwa, przynajmniej w tym stopniu, jak policya konna. Na odleglejszych ulicach, w zaułkach, gdzie się znajdują kryjówki „nocnych ptaków" wielkomiejskich, żołnierz pieszy boi się poprostu stać na straży, bo w razie napadnięcia go przez kilku łotrzyków nie ma nadziei wydostania się z ich rąk bez szwanku; zresztą w razie nagłych wypadków czy to pożaru, czy jakiegokolwiek innego nieszczęścia, konny policyant może prędzej przybyć na miejsce, gdzie go potrzeba. Wogóle w wielkich miastach konna policya jest prawie niezbędną.

Lwowska konna policya zyskała sobie w niedługim stosunkowo czasie ogólne uznanie, przyczyniając się w wysokim stopniu do utrzymania w mieście spokoju. Zawdzięczać to należy w głównej części doskonałemu wyćwiczeniu żołnierzy, którzy umieją się szybko oryentować w sytuacyi i biedz zawsze ze szczególną interwencyą.

Na czele oddziału lwowskiej konnej policyi stał porucznik Podracki. Człowiek to ogromnie energiczny, umiejący w żołnierzy policyjnych wpoić poczucie sprawiedliwości i umiejętność pożytecznej służby. Młody, znający miasto i publiczność, potrafił sobie p. Podracki zdobyć powszechny szacunek i uznanie we Lwowie.

Jak wiadomo i Kraków w najbliższych tygodniach będzie miał konną policyę. Miano ją wprowadzić z dniem 1 stycznia b. r., ale zwyczajnym trybem datę tę przeniesiono na czas nieokreślony. Komendantem oddziału krakowskiego zamianowany został komendant lwowskiej policyi konnej, wspomniany wyżej p. Podracki. Mamy nadzieję, że p. Podracki zdoła i w Krakowie pozyskać sobie tosamo uznanie, jakiem się cieszył we Lwowie.

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy w dzisiejszym numerze fotografię oddziału lwowskiej policyi konnej z porucznikiem Podrackim w środku.

Balet warszawski.

Baletomani warszawscy zaniepokojeni. Około teatru krążą bowiem głuche wieści, że balet warszawski ma być zniesiony i zaledwie kilkanaście par pozostawionoby dla urozmaicenia przedstawień operowych.

O ile te „złowrogie" wieści się sprawdzą, niedaleka przyszłość powie... Tymczasem balet pracuje w dalszym ciągu z równym jak dawniej animuszem i zapałem.

Miał on czasy świetne i śmiało mógł rywalizować z pierwszorzędnemi scenami w Europie, pod względem wystawy i doboru znakomitych tancerek. Osiwiali baletomani wspominają świetne tancerki siostry Stefanówne; — nieco później zapewniają, że takiej primabaleryny, jak Cholewicka, nie było na świecie. Potem już zaczęło iść na gorsze, jak to zwykle wszędzie się dzieje — a więc i w balecie. Zbrakło mu dawniejszego blasku, zbrakło zagorzałych adoratorów, sypiących na scenę kwiaty i brylanty.



Zapasy atletów w cyrku Sarrasani'ego w Krakowie: Pierre le Colosse, szampion francusko-belgijski.

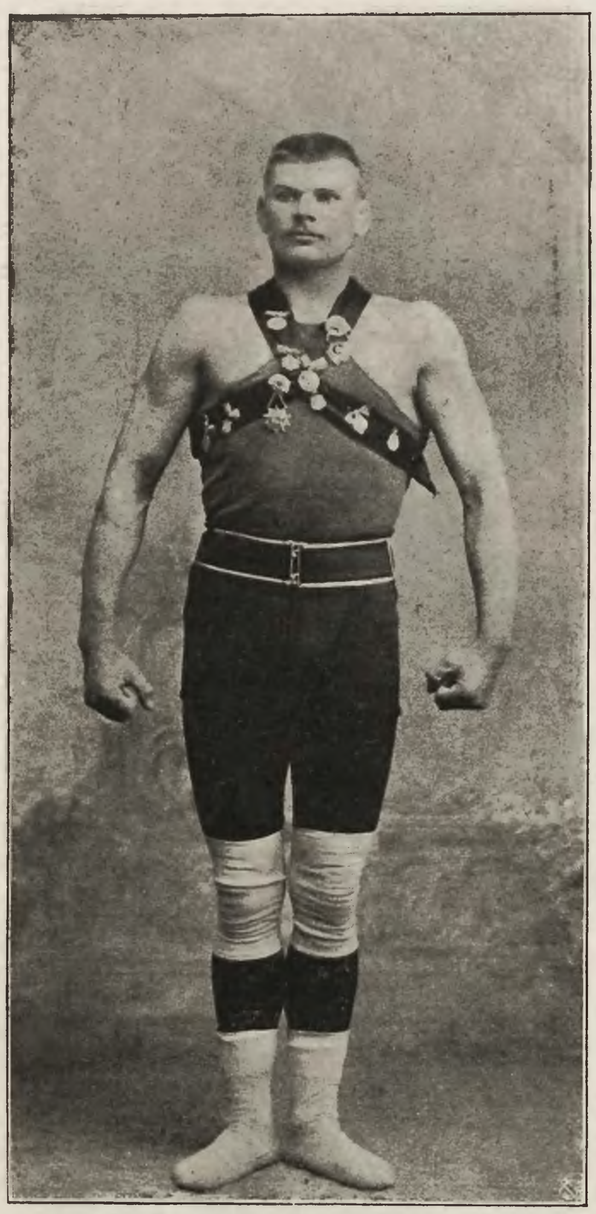
Posiada on jednak jeszcze i dziś dość sił utalentowanych, młodych i urodziwych. W szeregu tym odznacza się panna Kazimiera Nowacka, tancerka, obdarzona prawdziwym wdziękiem i temperamentem ognistym. W mazurach, czardaszach, tańcach hiszpańskich i charakterystycznych wywołuje zawsze doskonałe wrażenie zwinnością ruchów, lekkością i powabem. Przez jakiś czas zachwycała i publiczność czeską, tańcząc w Pradze w „Narodnim Divadle"; krótko to trwało — bo zatęskniła za Warszawą i wróciła do swoich.

I nietylko panna Nowacka jest prawdziwą ozdobą warszawskiego baletu; błyszczy tu i mi-



Fot.: Zakład „Secesja" z Podgórza.

Krakowska sekcya austryackiego Związku pomocników gastronomicznych.



Zapasy atletów w cyrku Sarrasani'ego w Krakowie: Ali Kali Ogly, zapaśnik turecki.

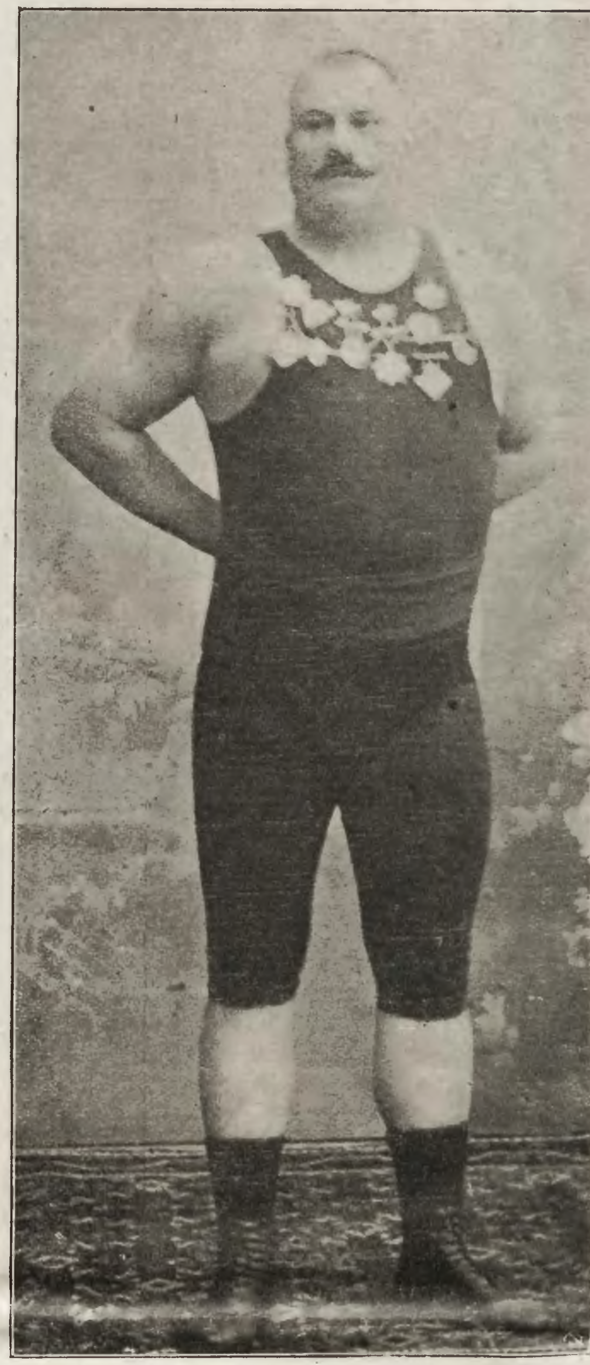
goce mnóstwo choreograficznych gwiazd i gwiazdeczek, że dość wspomnieć bardzo uzdolnioną primalerinę pannę Rządcównę, oraz tancerki tej miary jak pp. Chrzanowska, Rutkowska, Osowska, Hubertówna, Gnatowska, Gaszewska, Wasilewska, Rogińska i t. d.; trzeba widzieć je kręcące różne piruety, podwójne kółka i t. d., a przedewszystkiem w mazurach i czardaszach z panami Kuleszą (reżyserem baletu), Zalewskim, Śliwińskim i w. i. – aby zrozumieć żal i przerażenie baletomanów warszawskich. *R.*

Krakowska Sekcya Austr. Związku Pomoc. Gastronomicznych.

Nader liczna i dla ogółu użyteczna klasa pomocników gastronomicznych, zwanych pospolicie, a często pogardliwie kelnerami, to ludzie, którzy pracując uczciwie i ciężko na chleb codzienny, długo byli pozbawieni jakiegokolwiek stałego zabezpieczenia i pomocy na wypadek choroby lub utraty służby. Powodem tego opłakanego położenia był brak ogólnego związku, któryby działalność swą rozszerzył na całą klasę tych ludzi w państwie, a temsamem skupił w swem ręku większe środki finansowe. Były wprawdzie lokalne stowarzyszenia w większych miastach, lecz ich zakres działania zbyt szczupły, przynosił członkom swoim ulgi bardzo nieznaczne. Dopiero w roku 1898 udało się staraniom grona ludzi dobrej woli i silnej energii założyć w Wiedniu „Austr. Związek pomocników gastronomicznych“, stowarzyszenie, które programem swym objęło całe państwo, starało się wchłonąć w siebie dotąd istniejące stowarzyszenia prowincyonalne, oraz przez zakładanie Sekcyi swoich w poszczególnych krajach, zjednoczyć wszystkich pomocników we wspólnym celu wzajemnej pomocy. Po siedmiu zaledwie latach istnienia ma Związek tysiące członków czynnych i wspierających, a co najważniejsze, posiada do swej dyspozycyi w Meranie, Badenie i Karlsbadzie własne domy zdrowia, w których dostają chorzy członkowie całkowite utrzymanie i troskliwą opiekę lekarską.

Wobec tak owocnej działalności „Związku“ zaczęły powstawać sekcye prowincyonalne, będące w bezpośredniej z nim łączności i zapewniające członkom swoim pełne prawo korzystania z jego zasobów.

Sekcya krakowska, najmłodsza ze wszystkich, bo dopiero od roku istniejąca, zawdzięcza swoje powstanie niezmordowanym zabiegom i usilnej pracy kilku ludzi dobrej chęci, a szczególnie obecnego prezesa, p. Jakóba Sichla, kelnera w Grand hotelu. Nadto wzięła sobie krakowska Sekcya za główny cel wyszukiwanie posad w całem państwie dla swych członków i dlatego jest nadzieja, że będzie się ona dobrze rozwijała.



Zapasy atletów w cyrku Sarrasani'ego w Krakowie: Piotr Jankowski, po Cyganiewiczu najsilniejszy polski zapaśnik.



Fot. A. Pawlikowski, Kraków.

Zapasy atletów w cyrku Sarrasani'ego w Krakowie: Walka Cyganiewicza z Lurichem: Moment walki tak zwany „chwyt w pół“.

Zapasy atletów w cyrku Sarrasani'ego w Krakowie.

Od dwóch tygodni odbywające się w cyrku Sarrasani'ego w Krakowie zapasy atletów, ściągają codziennie tłumy publiczności, śledzącej z ogromnem zainteresowaniem przebieg mocowań. Nic dziwnego, bo w zapasach obecnych biorą udział siły pierwszorzędne, atleci takiej sławy, jak Cyganiewicz-Zbyszko, Lurich, Bieńkowski, Pugaczow, Jankowski i inni. Szczególną sympatyą cieszą się, jak to już w poprzednim numerze zaznaczyliśmy, dwaj atleci, a mianowicie Cyganiewicz i Lurich.

Obydwaj młodzi, posiadają doskonałą szkołę zapaśniczą, skutkiem czego walka pomiędzy nimi była dla miłośników zapaśnictwa sensacyą nielada. Lurich jest może nieco słabszy od Cyganiewicza, odznacza się jednak niesłychaną wprost zręcznością, która mu pozwala znacznie silniejszych odeń przeciwników powalać. Walka ich zresztą różni się ogromnie od walki innych zapaśników. Można powiedzieć, że są to przeciwnicy godni siebie. Chwyty ich, niesłychanie zręczne, przykuwają oko pewnością i szlachetnością. Niema w nich cienia brutalności, tak często spotykanej w chwytach

innych atletów, przytem są to chwyty prawie zawsze niezwykłe i rzadko widywane; wszystko to powoduje, że walka ich jest dla znawców i dla miłośników atletyki prawdziwą biesiadą.

W zeszły piątek rozegrały się między nimi rozstrzygające zapasy. Cyrk był naturalnie przepełniony, a publiczność z zapartym oddechem czekała na pojawienie się obydwu siłaczy na arenie. Kiedy szmer głosów przerwał nareszcie dźwięk syreny, znak do rozpoczęcia walki, gdy obaj przeciwnicy stanęli wreszcie na arenie, całą widownię zaległa śmiertelna cisza; w miarę postępowania zapasów wzmagał się jednakże hałas, tak zwykle zapaśników deranżujący. Sądzono powszechnie, że obydwaj będą walczyli conajmniej dwie godziny, gdyż obydwaj bili się w ten sposób, iż końca trudno się było w krótkim czasie spodziewać. I jeden i drugi okazywali taką szaloną zręczność, taką nadzwyczajną umiejętność walki, że ostatecznie trzeba było nabrać przekonania, iż w walce t a k i c h zapaśników jedynie przypadek może zdecydować o zwycięstwie. I zdarzył się przypadek, a zdarzył się prędzej, niż się tego spodziewano, bo zaledwie po 16 minutach walki. P. Lurich potknął się na dywanie i upadł, z czego skorzystał Cyganiewicz i zwyciężył, zwyciężył wedle wszelkich prawideł i zasad atletyki.

Walka między Lurichem a Cyganiewiczem była punktem kulminacyjnym w zapasach, tem świetniejsze było więc zwycięstwo Cyganiewicza, które zwiększyło jeszcze sympatyę, jaką się dotychczas cieszył w Krakowie. „Przecież teraz już chyba nikt nie da rady Zbyszkowi“ — mówiono powszechnie.

Zamieszczamy w dzisiejszym numerze trzy illustracye z zapasów, w których bierze udział Cyganiewicz. Na pierwszej rycinie widzimy Cyganiewicza i Luricha przy zwykłym chwycie w pół, jakim się zazwyczaj zaczynają zapasy. W naprężonych muskułach obydwóch widać to szalone napięcie, to zmaganie się sił, napozór tak nieznaczne, w rzeczywistości takie potężne. Obok zapaśników stoi sędzia, p. Rudy, członek krakowskiego „Sokoła“, mający czuwać nad tem, aby walka odbywała się prawidłowo.

Druga rycina przedstawia szczegół z dalszych zapasów. Cyganiewicz leży na ziemi, Lurich objął go rękoma i robi koziołka, aby go ciężarem swego ciała przewrócić na plecy i w ten sposób zwyciężyć.

Na trzeciej wreszcie illustracyi widzimy Cyganiewicza, mocującego się z Pierrem le Colossem w chwili robienia tak zwanego „pasa przewrotowego“, prawie zawsze wiodącego do zwycięstwa.

W rzędzie atletów poważne miejsce zajmuje również najstarszy obecnie, światowej sławy atleta-zapaśnik p. Piotr Jankowski z Warszawy. Zdobył



Fot. A. Pawlikowski Kraków

Zapasy atletów w cyrku Sarrasani'ego w Krakowie: Cyganiewicz-Zbyszko w walce z Lurichem, w chwili, gdy Lurich ciężarem swego ciała chce przewrócić Cyganiewicza na plecy.



Fot. A. Pawlikowski, Kraków.

Zapasy atletów w cyrku Sarrasani'ego w Krakowie: Cyganiewicz w walce z Pierrem le Colossem: Moment walki, tak zwany „pas przewrotowy“.

on nagrody w 30 przeszło międzynarodowych konkursach zapaśniczych, walcząc z atletami takiej sławy jak Lurich, Voss, Aberg, Pytlasiński i inni. W ubiegłym tygodniu wyzwał p. Jankowski największego siłacza, p. Bieńkowskiego, wyznaczając mu 100 koron nagrody, jeśli go nie położy w 20 minutach, a oprócz tego kilkaset koron nagrody, jeśli go nie położy w dłuższym przeciągu czasu. P. Jankowski zbudowany jest wspaniale, waży 160 klg. Wysoki, tęgi, jest dla każdego atlety niebezpiecznym przeciwnikiem.

Powszechną uwagę Krakowian skupia na sobie młody atleta turecki, p. Ali Kali Ogly z Mezopotamii. Wysmukły, szczupły, odznacza się niesłychaną zręcznością i kolosalną siłą. Jest to również sława światowa, znana w całej Europie, gdzie w stolicach zdobył mnóstwo orderów w zapasach z największymi siłaczami.

Champion francuski i belgijski, Pierre le Colosse, należy do tak zwanych olbrzymów-atletów. Wysoki, tęgi, waży 145 klg. W zawodzie zapaśniczym występuje stosunkowo od niedawna, bo dopiero od lat 4. Liczy lat 33. Urodził się w Charleroi w Belgii. W Krakowie zwyciężyli go Cyganiewicz, Pugaczow, Jankowski i inni.

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy właśnie portrety tych trzech siłaczy pp. Jankowskiego, Pierra le Colosse i Ogly'ego, zwracają oni bowiem najbardziej uwagę publiczności obok Cyganiewicza i Luricha, których portrety podaliśmy już w poprzednim numerze wraz z Bieńkowskim i Pugaczowem.

* * *

Z ostatniej chwili musimy dodać jeszcze obchodzącą czytelników wiadomość, że 29 stycznia odbyła się w cyrku ponowna walka między Cyganiewiczem a Lurichem, który pragnął rewanżu po ostatniem zwycięstwie Zbyszka. Zajęcie widzów było ogromne. Wszyscy z natężeniem wzroku oczekiwali wyniku. Wreszcie Lurich odniósł tym razem zwycięstwo nad Cyganiewiczem.

J. HAWTHORNE.

Tragiczna tajemnica.

Z upoważnienia autora z angielskiego przełożył J. R.

8 (Ciąg dalszy).

Słowa pułkownika miały ten skutek, że utwierdziły jeno Johnsona w przekonaniu, iż on sam zabił Hanier'a. Przeczytawszy bowiem w dziennikach, że morderstwo popełnione zostało około godziny pierwszej po północy, Johnson przeszedł w pamięci wszystkie szczegóły nocnej wycieczki pułkownikowstwa i był przekonany, że pułkownik, wróciwszy do domu i zostawiwszy tam żonę, sam jeszcze raz poszedł do Hanier'a i zabił go z zimną krwią.

— Gdybym był jeszcze pół godziny zaczekał — wyrzucał sobie Johnson — a nie szedł spać do hotelu, byłbym miał w ręce niezbity dowód, że mister Desmond jest zbrodniarzem. Bo to, że pułkownik żałował Hanier'a, że nawet chciał wyznaczyć nagrodę za wykrycie zbrodniarzy, to był zwykły wykręt rafinowanego zbrodniarza, usiłującego odsunąć od siebie wszelkie podejrzenia. Widocznie wolał on zawczasu wspomnieć o tem, że go z Hanier'em łączyły jakieś stosunki, aniżeli dopuścić, aby to dopiero miało wyjść później przy śledztwie na jaw. Gdyby on chociaż przeczuwał, jak ja jestem o wszystkiem poinformowany, to z pewnością byłby sobie wybrał innego powiernika.

Po wyjściu z zakładu udał się Johnson do własnego mieszkania na Jersey City. Miss Pond zasypała go naturalnie pytaniami, gdzie się przez tak długi czas obracał, ale Johnson uspokoił ją, mówiąc, iż powrócił właśnie z Bostonu, gdzie był wysłany przez pułkownika w interesie zakładu.

Zaspokoiwszy głód, który mu się porządnie dawał we znaki, udał się do swego pokoju i zamknął drzwi na klucz. Zapalił lampę, wyjął z szuflady arkusz bibuły, płytę stalową i rozmaite przybory, rozciągnął na stole kwit zastawniczy i zaczął pracować. Upłynęło kilka godzin, kiedy wreszcie zgasił lampę i położył się spać.

Następny wieczór spędził w ten sam sposób. Wreszcie po dwóch dniach ukończył robotę i dlatego, wyszedłszy z zakładu, nie pojechał do domu, ale udał się do znanego już Czytelnikom golarza.

W godzinę później do lombardu Sibleya przyszedł mężczyzna z długą brodą, z wielkiemi czarnemi brwiami, ubrany w długi płaszcz i stanął przy okienku, nad którem wisiała tabliczka z napisem: „Wykupno zastawów“. Po chwili zjawił się przy okienku subjekt, a mężczyzna ów rzekł do niego:

— Dnia 31 grudnia zastawiłem tutaj srebrną papierośnicę, numer zastawu 983, i chciałbym ją wykupić.

— Proszę o kwit — odparł subjekt, a mężczyzna ów położył kwit na ladzie.

— Oto jest — rzekł.

Subjekt przeczytał liczbę i notatki na kwicie, podszedł do pultu, porównał kwit z książką, zatelefonował do składu i za chwilkę przyniósł fant. Mężczyzna ów zapłacił procent, schował papierośnicę do kieszeni i wyszedł.

Szybkim krokiem wybiegł na ulicę, którą właśnie przejeżdżał tramwaj, wskoczył do wozu i za kilka minut był już na ulicy Żółwiej u golarza. Zastał go siedzącego samotnie w golarni.

— No cóż? Jest? — zawołał, ujrzawszy wchodzącego.

— Mam ją!

— Jest w niej co?

— Nie zaglądałem jeszcze do środka. Naprzód muszę się tego pozbyć — rzekł, wskazując na swoją brodę.

Zrzucił kapelusz i płaszcz, poczem oddarł brodę i brwi niedawno przyprawione i za chwilę stał przed golarzem Robert Johnson we własnej osobie.

Golarz zamknął drzwi od ulicy, poczem obaj z Johnsonem udali się do pokoiku w tyle i usiedli przy biurku. Johnson wyjął z kieszeni papierośnicę i obaj zaczęli się jej skrupulatnie przyglądać, używając od czasu do czasu szkła powiększającego.

— Dotychczas ja nic nie odkryłem — przerwał milczenie golarz — pan co widzi?

— Nawet najmniejszej skazy!

— Oglądnijmy wewnątrz!

Papierośnica otwierała się bardzo łatwo. Wnętrze jej było pozłacane, ale próżne. Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie z rozczarowaniem.

— Nie widzę, żeby ta rzecz warta była sto tysięcy dolarów, jak się miał wyrazić pułkownik — rzekł golarz.

— A ja jeszcze raz spróbuję — odparł Johnson i wziął znów papierośnicę do ręki.

Przyciskał palcem pewne miejsca, które mu się wydawały podejrzanymi, potrząsał nią, przykładał do ucha, ważył w ręce, wreszcie rzekł:

— No, jeszcześmy nie przegrali. Jedna połowa papierośnicy jest znacznie lżejsza od drugiej. Trzeba będzie zbadać tę cięższą.

— Może pan ma racyę — wycedził niechętnie golarz — może tam jest jakaś tajemnicza skrytka. W takim razie musi tu gdzieś być sprężyna. Zaczekaj pan, przypominam sobie, ja już gdzieś coś podobnego widziałem! Sprężyna była wśród tych rytych ornamentów. A — widzisz pan!

Podczas gdy to mówił, Johnson końcem scyzoryka nacisnął maleńki guziczek, znajdujący się wśród liści, wyrytych na srebrze i w tej chwili z jednej strony papierośnicy wysunęła się złota skrytka, nie wielka wprawdzie, ale w każdym razie mogąca pomieścić miniaturowy obrazek albo banknot.

Ale nie było w niej ani jednego, ani drugiego. Natomiast znajdował się mały skrawek pergaminu trzy cale długi a dwa cale szeroki, zapisany jakiemiś tajemniczemi znakami.

— Trafiłeś pan — zawołał golarz, który, jak się zdawało, stracił już zwyczajny spokój — oto te sto tysięcy dolarów, jak mi Bóg miły!

— Rzeczywiście tak to wygląda — rzekł Johnson, wyjął pergamin ze skrytki i oglądał go. Pismo na nim składało się z liter alfabetu, uporządkowanych szeregami. Obok każdej litery był jakiś tajemniczy znak. Obaj mężczyźni przypatrywali im się z naprężoną uwagą.

— To nie może być wszystko! — rzekł w końcu golarz. — To tylko częściowo wyjaśnia sprawę; musimy iść dalej.

Robert Johnson obrócił pergamin na drugą stronę i obydwaj naraz wydali okrzyk zadowolenia. Na drugiej stronie bowiem znaleźli klucz do odczytania tajemniczych liter, nad których odgadnięciem tak długo się męczyli.

— Nic dziwnego — ozwał się golarz po zbadaniu klucza — żeśmy nie mogli odgadnąć zagadki. Klucz ten jest tak piekielnie sprytnie obmyślony, żem jeszcze nigdy takiego nie widział.

IX.

W szynku Guley'a.

Właściciel bardzo uczęszczanego szynku przy ulicy Krętej, znany był pośród swoich gości pod przezwiskiem Guley'a. Lokal jego należał do tych nor wielkomiejskich, odrażających samym swoim wyglądem nieprzezwyczajonego do nich człowieka. Była to duża, niska, ciemna, ponura izba, w której przy prawej ścianie znajdował się szynkfas. Małe okienko, pokryte prawie w całości gęstą siecią pajęczyny, a wychodzące na podwórzec, przepuszczało do izby zaledwie odrobinę światła, tak, że dniem i nocą świeciła się w niej lampka, zawieszona u sufitu. Podłoga, zapluta i zaśmiecona, w kilku miejscach była już porządnie zaklęśnięta.

Na ścianach wisiało kilkanaście oleodruków, przedstawiających głównie wybitne sławy z półświatka kobiecego; był między niemi i portret ówczesnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, oraz cały szereg fotografii amerykańskich zapaśników. Te fotografie szczególnie wpadały w oko każdemu, kto wszedł do szynkowni, tembardziej, że nad niemi wisiały dwie pary wielkich rękawic, używanych zazwyczaj do boksowania. Rękawice te otrzymał Guley od znakomitego boksera, którego udało mu się zwyciężyć. Powiększył on przez to nietylko swoją własną sławę, ale zyskał także pokaźną pieniężną nagrodę, za którą nabył w Nowym Jorku szynk, który mu ładne przynosił zyski.

Sława, jaką sobie Guley ongi pozyskał na arenie cyrkowej, była dla jego restauracyi nielada wabikiem dla łotrzyków nowojorskich, którzy nieraz po kilka razy na dzień się boksują. Niejednokrotnie boksowanie stanowiło przez cały dzień temat rozmów w szynkowni i wtedy do Guley'a zwracano się jak do ojca, jak do wyroczni, mającej prawo wyrokowania w tej kwestyi. Uchodziło to zresztą za wielki zaszczyt, że który z nich mógł się pochwalić, iż zna Guley'a i że się z nim bił. To też restauracya jego zawsze roiła się od gości, którzy może nie odznaczali się zbytnią uczciwością, ale za to pili dużo i brzęczącą monetą suto wypełniali kieszeń Guley'a.

Pewnego popołudnia przywlókł się do szynkowni jakiś człowiek, ubrany jak pospolity wagabunda nowojorski, kazał sobie dać kieliszek wódki, wypił ją, zapłacił należytość i cofnął się w głąb izby, gdzie usiadł przy niezajętym przypadkowo stole. Nie był on tu stałym gościem, ale od kilku dni zaglądał tutaj parę razy na dzień, aby „odwilżyć“ gardło. Teraz nasunął czapkę głęboko na oczy i zadumał się.

Nikt do niego nie mówił, nikt nań nie zwracał uwagi, on też coraz bardziej pochylał głowę na piersi tak, że wszyscy byli przekonani, iż zasnął.

Tymczasem przy jednym ze stolików, stojących na środku szynkowni, wywiązała się ożywiona i interesująca rozmowa. Dyrygentami jej byli dwaj młodzi mężczyźni, jeden barczysty, wysoki, drugi gruby i przysadkowaty. Oni wodzili prym. Chodziło o rozstrzygnięcie kwestyi, jaki jest najlepszy sposób, aby przy boksowaniu obalić przeciwnika. Niższy wymownymi ruchami rąk starał się udowodnić, że uderzenie ręką w prawy bok musi przeciwnika wytrącić z równowagi, czemu drugi stale się opierał. Ponieważ jednak wyższy łotrzyk starał się przygłuszyć drugiego, wobec czego powstał w szynkowni hałas, przyszedł do nich Guley i jednem pchnięciem odrzucił krzykacza aż ku drzwiom, mówiąc mu, że mu łeb rozbije, jeśliby dalej obstawał przy swem fałszywem zresztą mniemaniu.

Po tej chwilowej awanturze, kiedy ów krzykacz znalazł się już na ulicy, zaczęła się znowu ożywiona rozmowa o jakiejś znakomitości bokserskiej, zwanej Mike.

Jeden z obecnych zauważył, że Mike od dłuższego czasu znikł z widowni Nowego Jorku i nigdzie się nie pokazuje. Guley uspokoił go jednak, mówiąc, że Mike znajduje się w najlepszem zdrowiu i że niedawno był w szynku, aby zabrać rewolwer, który swego czasu u niego zastawił.

Zawiązała się znowu żartobliwa rozmowa na temat, czy Mike chciał z tego rewolweru pozbawić kogo życia i wysłać go na łono Abrahama — co wywołało odrazu głośny śmiech i najrozmaitsze docinki. Guley opowiadał dalej, że Mike zastawił u niego rewolwer, chociaż miał pieniądze, tak tylko, „na hecę“, jak mówił, ale go wykupił na parę dni przed Nowym Rokiem.

Zabawa przewlekała się w ten sposób coraz bardziej. Przeskakiwano z jednego tematu na drugi, jedni goście wychodzili, inni przychodzili, tak, że szynkownia stale była zapełniona.

Przez cały ten czas nieznajomy, siedzący w głębi przy stoliku, chrapał sobie najspokojniej w świecie, jakby go żadna z tych kwestyi nic a nic nie obchodziła. Czapka spadła mu zupełnie aż na nos, jednę nogę wyciągnął przed siebie, a jednak, dziwna rzecz — ten człowiek śpiący miał oczy szeroko otwarte i bystro niemi obserwował wszystkich gości, a z pewnością i słuch wytężył, o ile mógł.

Co to miało znaczyć?

Czyżby to marne indywiduum, niskie, niepokaźne, zajmowało się badaniem psychologii gości w szynkowni Guley'a?

Cokolwiek on tam robił, w każdym jednak razie miał widocznie w tem ważny interes, bo nie ruszył się z miejsca nawet wtedy, kiedy zegar, znajdujący się pod rękawicami bokserskiemi na ścianie, wydzwonił dwunastą w nocy. Dopiero gdy jeden z wychodzących huknął mu nad uszami: „Proszę wysiadać!“ milczący gość zbudził się i wyszedł.

Świeże powietrze miało nań jednak dziwny wpływ. Wyprostował się bowiem, szedł pewnym, szybkim krokiem, zmienił się zupełnie. Stanął dopiero przed jednym z niepokaźnych budynków, zadzwonił do bramy i zapytał stróża, czy może się widzieć z inspektorem.

Była już godzina może pierwsza, inspektor jednak był w domu i jeszcze nie spał. W kilka minut później człowieczek ten stanął wobec szefa nowojorskiej tajnej policyi.

— Jakże tam, poszczęściło się panu? — zapytał inspektor Ślimaka, bo on to był tym niepokaźnym włóczęgą. — O ile sobie przypominam, miałeś pan polecenie zbadać wszystkie szynki, znajdujące się w pobliżu ulicy Wolności. Znalazł pan może właściciela rewolweru, zastawionego przez Evansa?

— To, co słyszałem, może nas na trop jego naprowadzić — odpowiedział.

— Cóż dalej? Dowiedziałeś się pan czego?

— Byłem w szynku Guley'a. Mówiono tam dosyć dużo o młodym łotrzyku, zwanym Mike. Zastawił on u Guley'a przed trzema tygodniami rewolwer, bo nie chciał za wódkę zapłacić gotówką.

— Jaki rewolwer?

— O ile słyszałem, musiał on być mniej więcej taki, jak ten, który Evans zastawił. O kalibrze nie było mowy.

— Powiada pan, przed trzema tygodniami?

— Tak, ale on go wykupił.

— Przed morderstwem Hanier'a?

— Może być, że parę godzin przedtem; Guley mówił, że na kilka dni przed Nowym Rokiem.

Inspektor począł chodzić po pokoju i zamyślił się.

— Rzecz prosta — ozwał się wreszcie — że może to nas do czego doprowadzić, ale prawdopodobieństwo jest bardzo małe. Mamy jeszcze inne ślady, które o wiele więcej mówią, a jednak najbardziej wymowny jest jeszcze bardzo wątpliwy. Cała ta sprawa jest tak osłonięta tajemnicą, jak mało która i z pewnością tak prędko nie rozwiążemy zagadki. W każdym jednak razie musimy odszukać człowieka, do którego ten rewolwer należy. Jak on się nazywa?

— Oni go nazywali Mike.

— To przezwisko chyba. Ale nazwisko?

— Innego nie słyszałem, a pytać się o nie nie mogłem. To zanadto sprytne lisy, te łotrzyki u Guley'a.

— Musimy się dowiedzieć, jakie jest jego prawdziwe nazwisko! Zaczekaj pan — czy tam przypadkiem do tej knajpy nie zagląda człowiek, który już raz czy dwa razy był aresztowany, nazwiskiem Muggins?

— Kręci się tam czasem i on.

— Ano to dobrze. Mógłbyś go pan odszukać?

— Sądzę, że tak, panie inspektorze.

— Więc wyszukaj go pan i dostaw go do mnie jutro wieczór o ósmej godzinie. Naturalnie, on nie powinien wiedzieć, po co go wzywam. Zdaje mi się, że od niego dowiem się szczegółów co do tego Mike.

Detektyw oddalił się.

Następnego wieczora około godziny ósmej przyprowadzono do głównej dyrekcyi policyi przy ulicy Mulberry jakieś indywiduum z pod ciemnej gwiazdy. Indywiduum to drżało z obawy i przestrachu, widocznie z tej prostej przyczyny, że znajdowało się w zupełnej nieświadomości, po co zostało wezwane. Po chwili czekania w przedpokoju zaprowadzono je do owego ponurego gabinetu, stanowiącego kryminalne muzeum w Nowym Jorku i pozostawiono je na pastwę niewesołych refleksyi.

Nagle w pokoju zjawił się inspektor. Zjawił się niespodziewanie, bo odgłos jego kroków tonął w puszystym dywanie, rozesłanym na podłodze. Usiadł przy biurku i skinął na Mugginsa, aby się przybliżył, co ten natychmiast uczynił, z miną żaka, oczekującego dobrze zasłużonej kary.

— Dlaczego mnie pan wezwał, panie inspektorze? — szeptał z drżeniem w głosie — przecie ja nic złego nie zrobiłem.

— A czyż ja pana o co posądzam? — zapytał inspektor, mierząc go badawczem spojrzeniem.

Pytanie to jednak nie uspokoiło Mugginsa. Widocznie miał niejedną sprawkę na sumieniu, jeno nie wiedział, za który właściwie ma ponieść karę.

— Więc po co mnie tu dostawiono? — wyszeptał na nowo, z wyrazem cnotliwego zdumienia, które ciekawie wyglądało na jego twarzy.

— Policya, zdaje się, ma o panu nie najlepsze wyobrażenie; nie mówi o panu nic dobrego — ciągnął inspektor dalej, przerzucając notatnik.

— Cóż ja winienem? — odparł Muggins smutno — ja jej nie daję do tego najmniejszego powodu.

— Tak? A jakże to dawno skradłeś pan ubranie przy ulicy Wolności?

— Aresztowano mię wtedy, ale mi niczego nie udowodniono.

— Okoliczności tym razem panu sprzyjały. Ale okazało się wkrótce, że pan jesteś niepoprawny. Zaraz potem obrabowałeś pan kasę w trafice...

— Ja tam tylko wszedłem, aby sobie kupić zapałek — skarżył się Muggins — to ktoś inny musiał zabrać pieniądze.

— Przecież znaleziono je w pańskiej kieszeni.

— Ale to były moje pieniądze. Byłbym to udowodnił, ale mi nie dano.

— Niby to pan tak pilnie pracuje, że pan zawsze ma przy sobie dziesięć do piętnastu dolarów! Mnie pan przecie tego nie potrzebuje mówić.

Muggins niespokojny przestępował z nogi na nogę, zerkając ciągle ku drzwiom.

Inspektor przerzucał dalej notatnik.

— Później okradł pan znowu wóz towarowy. Dalej dostałeś się pan do więzienia za kradzież kieszonkową. Opinię ma pan u nas jak najgorszą. Teraz powiedz mi pan, jak pan spędził ostatnie dni czternaście?

— Żebym się tak z tego miejsca nie ruszył, panie inspektorze, od czasu, jak wyszedłem z więzienia, nie popełniłem nic złego.

— W jaki sposób zarabiasz pan na życie?

— Mam przecie fach w ręce.

— Jaki?

— Jestem dobrym robotnikiem przy brukowaniu ulic.

— Więc pan w tym fachu pracuje w szynku Guley'a z Mikiem i z tą całą bandą?

— O którym Mike pan myśli, panie inspektorze?

— Wiesz pan o tem tak dobrze, jak ja — odparł surowo inspektor.

— Mike Gloin? Z tym nie mam nic wspólnego!

— Przecież obydwa macie główną kwaterę u Guley'a!

— On się tam wprawdzie kręci, ale ja się z nim nie wdaję.

— Czy to ma znaczyć, żeście się pokłócili?

— Nie, nie kłóciliśmy się, ale ja go znać nie chcę. On się zawsze chwali, że należy do „mistrzów“ pomiędzy nami, że ma już nawet sławę pod tym względem.



...kazał sobie dać kieliszek wódki, wypił ją, zapłacił należytość i cofnął się w głąb izby, gdzie usiadł przy niezajętym przypadkowo stole....

— W takim razie musisz pan wiedzieć o jego ostatniej zbrodni? — zapytał nagle inspektor.

— O jakiej?

— Tylko bez krętactw, proszę pana! Musiał pan słyszeć o jego zacnym kompanie?

— Ma pan na myśli Freda Banfielda? — krzyknął Muggins.

— Nie, tego drugiego; on tu także zapisany — rzekł inspektor, ciągle przerzucając notatnik.

— Może Healy albo Morrisey?

— No, mniejsza o to — rzekł inspektor, zamykając notatnik. — Teraz chodzi mi o pana. W pobliżu szynku Guley'a obrabowano pewnego pana. Był on trochę podpity, ale oświadczył, że będzie mógł poznać złodzieja. Jeden z bandy Mikego jest w tę sprawę wplątany i zrobi pan najlepiej, jak pan wszystko otwarcie wyzna.

— Ależ ja o tem nic nie wiem, jak Boga kocham, ani nawet nie słyszałem o tem — bronił się Muggins. — Jak wyszedłem ostatni raz z kozy, stałem się chodzącą cnotą! Może się pan spytać, kogo pan chce!

— Zobaczymy, czy pańska niewinność wyjdzie na jaw; ja w nią wierzę. Ale jeżeli się przekonam, że pan kłamał — to, strzeż się pan, mówię panu!

I zaraz potem zapytał:

— Gdzie pan byłeś ostatniej nocy między pierwszą a drugą?

Twarz Mugginsa rozjaśniła się.

— W łóżku — odparł — w domu, spałem już! O, to panu udowodnię.

— Może pan będzie musiał udowodnić — rzekł inspektor obojętnym głosem. — Na razie puszczam pana wolno. Ale radzę panu, niech się pan nie wdaje z ludźmi, przez których pan sam popada w podejrzenie. Dopóki się pan będzie prowadził uczciwie, dopóty policya będzie stać po pańskiej stronie. Ale jak tylko się okaże, żeś pan znowu zeszedł z prawej drogi, to wcześniej czy później musisz pan za to odpokutować.

Muggins wyszedł. Serce mu biło z radości, że jest wolny, a może też kiełkowało w niem postanowienie, aby rzeczywiście się poprawić. Bo podczas krzyżowego ognia pytań, jakiemi go zasypywał inspektor, nie pozwalając mu naturalnie nawet domyślać się, że go nie myśli wcale zatrzymać w więzieniu, ale chce od niego dowiedzieć się czegoś o Mikem, inspektor podbił go swoją dobrocią, udzielając mu w końcu serdecznej porady, której postanowił usłuchać.

Inspektor, zostawszy sam w gabinecie, wstał i przeszedł się kilka razy po pokoju, gładząc z uśmiechem swoją brodę.

— Mike Gloin, Fred Banfield, Healy i Morrisey — powtarzał szeptem. — Nie zapomnę ja tych panów, z którymi mnie Muggins zapoznał. Na razie najważniejszą rzeczą jest dowiedzieć się, czy Mike Gloin i Evans nie są przypadkiem jedną i tą samą osobą. Jeśliby tak było, to on nam już powie, skąd pochodzi kula, śmiercionośna dla Hanier'a.

Zresztą, zdaje mi się, że sprawa z papierośnicą może nas również naprowadzić na trop mordercy. Byłby czas, żeby i Ślimak coś przyniósł nowego!

XII.
Bal maskowy.

Wieczorem dnia 19 stycznia 1882 panował na ulicy Franklina nadzwyczajny ruch. Okna akademii muzycznej gorzały światłem. Ze wszystkich sąsiednich ulic napływały pieszo i w powozach tłumy ludzi, a dolatujący z wnętrza budynku rytmiczny dźwięk muzyki, zlewał się z turkotem setek powozów.

Cóż się tu stało?

Przecież żadna primadonna, choćby nie wiem jak sławna i popularna, nie zdołałaby ściągnąć tak wielkich i tak różnorodnych tłumów! Jakżeż ciekawie wyglądały postacie, które w groteskowych albo błyszczących kostyumach, z maskami na twarzach wysiadały z dorożek i powozów i falą różnobarwną płynęły ku bramie! Może tam było przedstawienie, w którem każdy z publiczności miał swoją odgrywać rolę?

Coś podobnego było w każdym razie, bo, jak corocznie, tak i wtedy odbywał się tam bal francuski, dla mieszkańców Nowego Jorku pewnego rodzaju święto, bo za grzech poczytałby sobie każdy, gdyby przynajmniej przez godzinę nie wziął w nim udziału. I to nietylko sfery niższe, ale nawet najwyższa arystokracya spieszyła na ten bal, nic dziwnego więc, że połowa Nowego Jorku z niecierpliwością oczekiwała dnia, w którym się odbędzie, a druga z nie mniejszem upragnieniem chciała mu się bodaj przypatrzeć.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dwaj prezydenci Francyi.

Francya ma w tej chwili aż dwóch prezydentów naraz i to w ciągu całego miesiąca. Od czasu istnienia trzeciej republiki nie zdarzyło się to jeszcze ani razu, mimo, że mogło się zdarzać często z tego powodu, iż w myśl ustawy, kongres wersalski zawsze musi wybrać prezydenta na miesi c przed końcem jego siedmioletnich rządów. Ale przez lat 35 od czasu proklamowania Thiersa, tylko jeden prezydent ukończył w całości swą kadencyę, Grévy, którego wybrano zaraz ponownie; wkrótce jednak z powodu brudnej sprawy o sprzedawanie odznaczeń i orderów przez zięcia, musiał on podać się do dymisyi, podobnie jak jego poprzednik, a Thiersa następca, Mac-Mahon. Przed upływem siedmiolecia umarł wybrany po Grèvym, Sadi Carnot, pchnięty sztyletem Caseria. Następny prezydent Casimir Périer wytrzymał tylko kilka miesięcy w pałacu Elizejskim, a skutkiem jego ustąpienia nagłego, wybrano zaraz Feliksa Faure'a, który po kilku latach zmarł zagadkową śmiercią, również nie doczekawszy końca swojej kadencyi. Dość, że dopiero ostatni prezydent, Emil Loubet, rządził do końca swego siedmiolecia i nie wybrany ponownie, wywołał po raz pierwszy w republice francuskiej ten szczególny zbieg okoliczności, iż w Paryżu jest naraz aż dwóch rzeczywistych prezydentów. Obaj biorą pełną pensyę. Snać Francyę stać na to. Jeden już jest przedmiotem powszechnego zajęcia, wszyscy starają się pozyskać jego względy i chociaż dopiero 18 lutego zacznie podpisywać z monarszym giestem wielkie akty państwowe — nosi już tytuł prezydenta. Drugi jeszcze urzęduje i podpisuje papierów pliki całe do 18 lutego, ale już coraz mniej ludzie ubiegają się o jego łaski, a świat cały o tyle tylko się nim interesuje, o ile wogóle budzi zajęcie człowiek, który usuwa się ze stanowiska, niemal królom równego – w zacisze domowe, w 68 roku życia, a po 30 latach służby publicznej męża stanu. Kim był Loubet w ciągu 7 lat na urzędzie prezydenta Francyi — trudno dać jasną odpowiedź. Moralna jego fizognomia, duchowa indywidualność, pozostały zawsze zakryte. Wolał z ubocza spoglądać na bieg wypadków, niż rozcinać własnoręcznie niejeden węzeł gordyjski, jaki zawiązał się w czasie jego rządów. Pozostał na tem stanowisku, czem był przed wyborem: umiarkowanym republikaninem, człowiekiem dość miernych zdolności, umiejącym jednak zręcznie sterować barką po falach życia.



Fallières. Loubet.
Dwaj prezydenci Francyi.

O nowym jego następcy dużo już mówią w Paryżu, a najczęściej zapewniają, że podobnie jak Loubet, nie jest Fallières orłem. Ale kto rozpoczął karyerę jako adwokat w małej mieścinie, a kończy ją jako prezydent republiki, ten musi mieć niezwykłe zalety umysłu i charakteru. Paryżanie po swojemu już go wzięli za przedmiot swych ulubionych żartów: powiadają więc, że powinien sobie sprawić teraz nowy krawat, dotychczasowy bowiem, z błękitnego jedwabiu w białe rzuty, był może szczytem elegancyi przed 30 laty, dziś zaś dla prezydenta nie może uchodzić taki okaz mieszczański. Inni żartownisie dodają, że Falliè es mógłby sobie odkupić od Loubeta parę kufrów z krawatami. Woźni w pałacu Elizejskim śmieli się, gdy Fallières był z wizytą u Loubeta przed kongresem wersalskim — iż przyszedł „oglądać mieszkanie do najęcia“. Kiedy zaś wprost z Wersalu wracając, z ponowną wizytą przyszedł do Loubeta, już prezydentem obrany — i ten mu składał powinszowanie z tego powodu (właśnie nasza rycina chwilę tę przedstawia) woźni szeptali sobie już ciszej na ucho: „Przyszedł wypowiedzieć mieszkanie staremu lokatorowi“...

Krwawa rewolucya nad Donem.

Rozgłoszono światu, że powstanie zbrojne w Rostowie nad Donem zostało stłumione, lecz mało kto wiedział, że w tem mieście działo się tosamo, co niedawno w Moskwie, w której tylko większe zastępy wojska brały udział w zapasach krwawych z rewolucyą. Ale na ulicach miasta Rostowa grzmiały armaty przez całych dni dziesięć! Zaczęło się tam od bombardowania budynku kolei Władykaukaskiej, w którym odbywał się podówczas wiec przy udziale 6 tysięcy ludzi. Wiecu mimo gradu pocisków nie przerywano i rozwiązano go dopiero wtedy, gdy kule armatnie zaczęły wpadać do wnętrza sali, zabijając i raniąc obradujących. W takiej chwili większa część uczestników zdołała ujść cało z budynku, w którym zamknęła się tylko uzbrojona milicya rewolucyjna. Walka trwała przez szereg godzin, zanim wojsko opanowało wszystkie



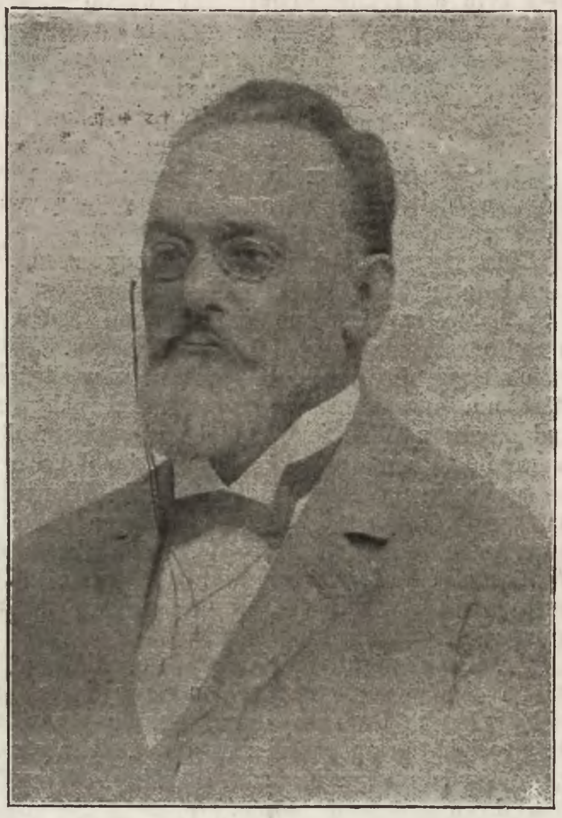
Krwawa rewolucya nad Donem: Tragiczny epizod z dziesięciodniowych walk ulicznych w Rostowie nad Donem.

budynki kolei Władykaukaskiej. To było wstępem do zbrojnego wybuchu w Rostowie nad Donem. Nazajutrz zaczęła się prawdziwa wojna. Zbrojne oddziałki powstańców co chwila atakowały gdzieś z zaułków regularne wojska, aż przyszło do strasznych bitew na ulicach. Artylerya z 8 działami, z pomocą kozaków i piechoty, musiała się niejednokrotnie cofać, tak zawzięcie bili się powstańcy. Wzmocniono wojska nowymi oddziałami kozaków, ale siły zbrojne nie mogły pokonać rewolucyonistów wśród zażartych walk przez 8 dni, mimo nieustannego ognia działowego, który szerzył nieopisane zniszczenie w mieście. Wśród tego ginęły setki ofiar, a między zabitymi i ciężko ranionymi przeważają nie powstańcy, lecz spokojni mieszkańcy Rostowa. Kule nie pytały — kto winien.... Wszak między zburzonymi domami, których liczba dochodzi do 200, były i budynki szkolne, była nawet cerkiew....

Toteż zdarzały się tam i takie wypadki: Młoda kobieta, widząc krew dokoła, rzuca się w wir walki, żeby śpieszyć z pomocą rannym, jako siostra miłosierdzia. Lecz żołnierze — podejrzewając w niej rewolucyonistkę — rzucają się na nią z bronią: tłumaczenia na placu boju nie pomagają; nastaje chwila szamotania się między żołnierzem a dziewczyną — jak to widać obok na naszej rycinie, przedstawiającej epizod z krwawych dni dziesięciu w Rostowie nad Donem — i siostra miłosierdzia ginie pospołu z braćmi, walczącymi pod czerwonym sztandarem.

W powrocie z wojny.

Czekają w kraju rodziny na tych, co przed długimi miesiącami poszli jako rezerwiści armii rosyjskiej — na Daleki Wschód, na wojnę krwawą. Bój straszny zakończył się już dawno, a mężowie, bracia, synowie nie wracają do domu, mimo, że wieści od nich przychodziły, ręką własną nawet listy pisane — jako żyją i wrócą niebawem. I po wielu, wielu tygodniach głosić zaczęto, iż żołnierze wracają nareszcie z Mandżuryi. Ale to nie znaczyło jeszcze wcale, że bliski dzień, w którym zobaczą ich stęsknione żony, zaniepokojone matki. Bo do kraju mil tysiące drogi z Dalekiego Wschodu. Więc nawet gdy pociągi wojskowe wyruszą z miejsca, miną jeszcze nowe tygodnie, zanim do wsi i miast rodzinnych dostaną się rezerwiści. W zwykłych czasach jedzie się i jedzie bez końca z Mandżuryi tygodniami, a cóż dopiero w czasach tak niepewnych, jak dzisiejsze, kiedy co chwila strejki kolejowe lub wybuchy zbrojne w tych czy owych stronach, uniemożliwiają przejazd pociągów wojskowych, które niedawno temu zaczęto istotnie wyprawiać do kraju. Wśród takich okoliczności łatwo tedy było o podobne zdarzenie: mianowicie do Moskwy przyjeżdżały pociągi z rezerwistami właśnie w chwilach gorącej walki w czasie zbrojnego powstania w tej stolicy. A ponieważ przez ten czas dworce kolejowe, jak np. drogi żelaznej moskiewsko-kazańskiej, lub rjazańskiej znajdowały się w rękach rewolucyonistów, przeto ci, będąc tam właśnie gospodarzami, przyjmowali sami wszystkie pociągi wojskowe, do Moskwy nadchodzące i witali powracających z wojny rezerwistów, przyczem zazwyczaj rozbrajali oficerów, puszczając ich zresztą swobodnie, a rezerwistów brali pod swoją opiekę. Taką chwilę powitania, na jednym z tych dworców w Moskwie, rezerwistów z Mandżuryi przez rewolucyonistów, wyobraża poniżej zamieszczona rycina.



Nekrologi za życia: Sp. Wincenty Wdowiszewski, zasłużony dyrektor budownictwa miejskiego w Krakowie.

Nekrologi za życia.

W ubiegłym tygodniu kilka porannych dzienników krakowskich podało zgodnie nekrolog człowieka, który żył jeszcze... Łatwo pojąć, jaką to mogło przykrość b lesną sprawić rodzinie, gdy wyczytała w dziennikach już wspomnienia pośmiertne o tym najdroższym, którego, aczkolwiek bardzo ciężko był chory, pragnęła była zachować przy życiu jak najdłużej i do ostatniej chwili pocieszała się tą nadzieją. Niestety, wiadomość, na razie nieprawdziwa, okazała się tylko przedwczesną; zanim bowiem pisma wieczorne zdążyły ją odwołać, żywy nieboszczyk dokonał już życia — w kilkanaście godzin wszakże od chwili, w której korespondenci roztelegrafowali śmierć jego do pism zamiejscowych.

Mówimy tu o zgonie wielce dla Krakowa zasłużonego dyrektora budownictwa miejskiego, ś. p. Wincentego Wdowiszewskiego. Utalentowany architekt, po ukończeniu studyów technicznych, pracował zrazu jako inżynier rządowy w Bochni, następnie był w Sanoku inżynierem cywilnym, zanim wstąpił do urzędu budownictwa miejskiego w Krakowie, w którym po przejściu wszystkich stopni służby, został wreszcie inspektorem, a następnie dyrektorem. Ukochawszy serdecznie Kraków z pamiątkami jego przeszłości, rozwinął nieboszczyk rozległą a pożyteczną działalność na stanowisku dyrektora budownictwa miejskiego, przyczem za zasługę przedewszystkiem to mu należy poczytać, iż starał się jak najusilniej o nadanie miastu, pod względem architektonicznym, charakteru grodu starożytnego.

Między innemi pozostanie po śp. Wdowisze-



W powrocie z wojny: Rewolucyoniści w Moskwie, opanowawszy dworzec kolejowy, przyjmują pociągi wojskowe z powracającymi z Mandżuryi rezerwistami.



Z przesilenia węgierskiego: Hr. Juliusz Andrassy.

wskim duży memoryał dla Rady miejskiej w sprawie sy temów czyszczenia miast zagranicą — owoc studyów osobistych w podróży na koszt gminy odbytej; pozostanie szereg broszur w żywotnych sprawach artystycznych Krakowa; zmarły dyrektor bowiem, obdarzony niezwykle żywym temperamentem, zabierał zawsze głos w każdej aktualnej sprawie, obchodzącej go zawodowo. A pióro miał dobre. W wolnych chwilach zajmował się też i literacką pracą. że przypomnimy powieść „Kulturtraeger" lub komedyę „Takich więcej", które znacznem cieszyły się w swoim czasie powodzeniem w naszem mieście.

Jak nieboszczyk kochał Kraków, dowodzi fakt, że nietylko oddał mu ofiarnie pracę całego życia, ale na krótko przed śmiercią zapisał bogatą i cenną bibliotekę swoją krakowskiemu Muzeum Narodowemu.

Ś. p. Wincenty Juliusz Wdowiszewski, którego portret znajdą czytelnicy w tym numerze, przeżył 56 lat; w urzędzie budownictwa miejskiego w Krakowie pracował już od r. 1886, jego dyrektorem zaś był od r. 1897.

Z przesilenia na Węgrzech.

Zdawało się, że po nieudałej i bezskutecznej misyi byłego ministra skarbu dra Lukacsa, który, jak to w jednym z poprzednich numerów zaznaczyliśmy, zajmow ł się przeprowadzeniem kompromisu między koalicyą opozycyjnych stronnictw węgierskich a koroną, nastanie znów na Węgrzech burzliwa era nowych walk, trwających tam od przeszło półtora roku. Stało się jednak inaczej.

Lukacs zwrócił się do hr. Juliusza Andrassy'ego z prośbą, by mu tenże przedłożył piśmiennie żądania i projekty koalicyi. Hr. Andrassy zgodził się i przedłożył mu memorandum, które Lukacs podał do wiadomości prezydenta ministrów barona Fejervary'ego. Memorandum to, przedłożone cesarzowi, nakłoniło go do wszczęcia nowych rokowań z koalicyą, aby nareszcie raz położyć kres przesileniu, które w dotkliwy sposób daje się odczuwać całej monarchii. Jako pośrednik między koroną a koalicyą miał wystąpić hr. Andrassy, którego też cesarz powołał w ubiegłą środę do Wiednia.

Misya hr. Andrassy'ego była znacznie łatwiejszą, aniżeli misya jego poprzedników. Przedewszystkiem koalicya zrzekła się już żądania, o które rozbijały się zawsze poprzednie usiłowania zażegnania przesilenia. a mianowicie żądania komendy węgierskiej w pułkach. Pierwsza audyencya hr. Andrassy'ego u cesarza, trwająca przeszło półtorej godziny, nie przyniosła jednak rezultatu, nie doprowadziła do kompromisu. A jednak i wtedy kompromis był jeszcze bardzo prawdopodobny, były bowiem okoliczności, które pozwalały przypuszczać, że hr. Andrassy'emu uda się nareszcie rozciąć ten węzeł gordyjski, nad którego rozwiązaniem tylu polityków nadaremnie łamało sobie głowy, głównie dzięki temu, że żądania koalicyi przezeń przedłożone, zostały znacznie zmodyfikowane.

Żądania koalicyi streszczają się obecnie w dwóch zasadniczych żądaniach; a mianowicie: aby ministeryum skarbu wspólnego przenieść z Wiednia do Budapesztu, a drugie, aby ograniczyć władzę króla w dziedzinie odraczania i rozwiązywania sejmów.

Pierwszy warunek jest dla korony rzeczą prawie obojętną, bo ostatecznie dla dynastyi jest wszystko jedno, czy wspólne ministeryum będzie się mieściło w Budapeszcie, czy w Wiedniu. Jest to tylko niewygodny punkt dla biurokracyi wiedeńskiej, która nie chce uznać równorzędności politycznej Budapesztu z Wiedniem. Drugie natomiast żądanie koalicyi jest znacznie donioślejsze, bo dotyczy samej osoby króla jako władcy Węgier. I tu jednak możliwe jest wyjście. Cesarz bowiem może dać jawne konstytucyjne rękojmie, że praktykowane w roku ubiegłym, rozwiązywanie i odraczanie sejmu się nie powtórzy, co w niczem nie naruszy jądra władzy monarszej.

Hr. Andrassy, powróciwszy po nieudałej audencyi do Budapesztu, zwołał na posiedzenie przywódców koalicyi w sprawie zażegnania przesilenia. Obrady ich trwające przez dwa dni, wydały rezultat niespodziewany: bardzo pomyślny. Wszystkie skoalidowane stronnictwa oświadczyły się bowiem za pokojowem załagodzeniem konfliktu. Ponadto objawił się w koalicyi prąd, skłaniający się do objęcia rządów.

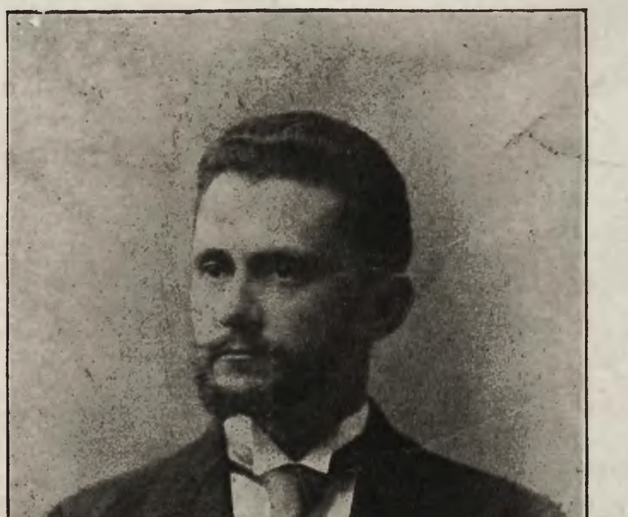
W chwili, gdy to piszemy, hr. Andrassy ma powtórnie udać się do króla i zdać mu sprawę ze swych rokowań. Kompromis jest więc ogromnie prawdopodobny.

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy obok fotografię hr. Andrassy'ego, który dla Węgier, a raczej dla dynastyi habsburskiej stanie się prawdziwie mężem opatrznościowym, jeżeli mu się uda doprowadzić do kompromisu.

Nowy dyrektor gal. Kasy Oszczędności we Lwowie.

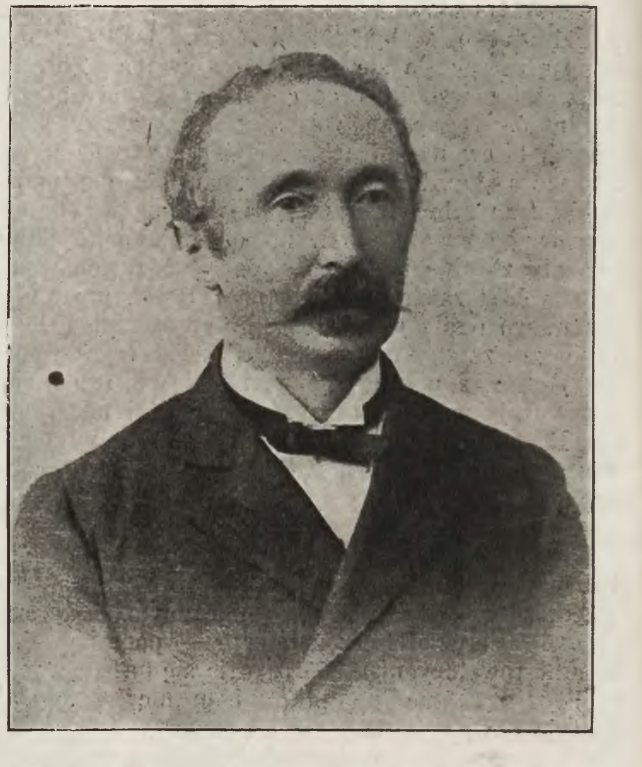
Po miesięcznem bezkrólewiu, spowodowanem przez ustąpienie dr. Steczkowskiego ze stanowiska naczelnego dyrektora galicyjskiej Kasy Oszczędności we Lwowie, ogłoszono w zeszłym tygodniu mianowanie nowego tej instytucyi kierownika. Został nim adwokat lwowski dr. Ferdynand Kwiatkowski, którego portret podajemy w dzisiejszym numerze poniżej.

Mianowany świeżo dyrektor Kasy Oszczędności jest człowiekiem w pełni sił, ukończył bowiem dopiero 45 lat życia. Mimo młodego wieku, potrafił sobie dr. Kwiatkowski wyrobić opinię znakomitego jurysty, a jego kancelarya adwokacka, którą prowadzi od lat 14, znaną jest powszechnie jako jedna z najlepiej prosperujących. Studya prawnicze ukończył dr. Kwiatkowski we Wiedniu; powróciwszy następnie do kraju i odbywszy praktykę adwokacką, otworzył własną kancelaryę, którą następnie przez kilka lat prowadził do spółki z adwokatem dr. Godlewskim.



Nowy dyrektor gal. Kasy Oszczędności we Lwowie: Dr. Ferdynand Kwiatkowski.

Nominacya dr. Kwiatkowskiego na dyrektora Kasy Oszczędności we Lwowie wywarła jak najlepsze wrażenie. Instytucya ta bowiem, znajdująca się jeszcze dotąd w stadyum sanacyi po pamiętnej katastrofie za dyrektora Zimy, wymaga, aby na jej czele stał człowiek zdolny, o czystym charakterze i energiczny. A tym wszystkim wymogom odpowiada właśnie nowo mianowany dyrektor. Należy się więc spodziewać, że dyrektor Kwiatkowski dokończy chlubnie dzieła, rozpoczętego przez swego poprzednika dyr. Steczkowskiego, dokończy go chlubnie i na pożytek tej, tak poważnej i wielkiej instytucyi.



Pożegnanie prezydenta Brasona: Przechodzący w stan spoczynku, prezydent sądu krajowego w Krakowie, Adolf Summer Brason.

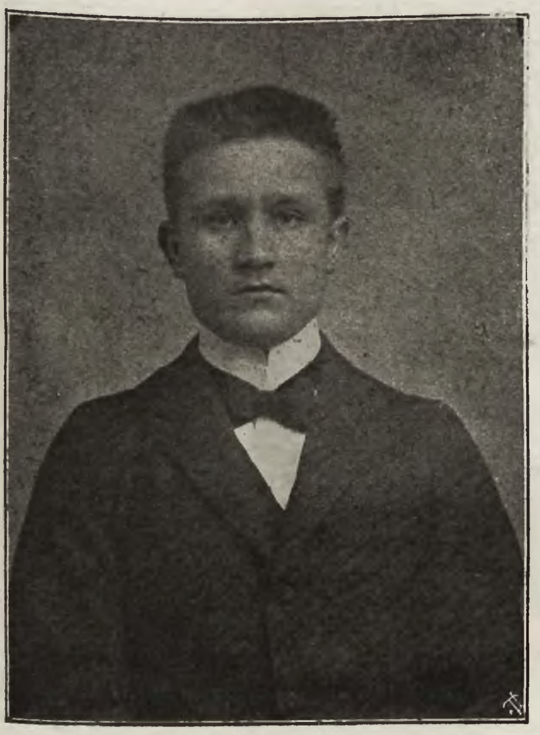
Pożegnanie prezydenta Brasona.

Krakowskie koła sądowe żegnały w ubiegłą niedzielę prezydenta sądu krajowego p. Adolfa Summer Brasona, który na własne żądanie przeszedł w stan spoczynku.

Prezydent Brason, którego fotografią pomieszczamy obok tej notatki, był jednym z tych niewielu urzędników, którzy na tak wysokiem i tak odpowiadzialnem stanowisku zdołali sobie pozyskać serdeczną miłość i szacunek u swoich podwładnych, a zasłużone uznanie i poważanie w szerokich kołach znajomych. Kierował on się bowiem zawsze poczuciem obywatelskości, postępowanie jego z podwładnymi odznaczało się więc nadzwyczajnym taktem i ludzką wyrozumiałością. Nic dziwnego, że wiadomość o jego przejściu w stan spoczynku odbiła się w kołach sądowych smutnem echem. Żałowano powszechnie, że ze stanowiska tak ważnego, usuwa się człowiek tak zdolny, o takich zasadach i tak szlachetnym charakterze. Postanowiono więc uroczyście przynajmniej pożegnać ustępującego prezydenta i w ten sposób okazać mu dowodnie sympatyę, jaką się cieszył u wszystkich.

W niedzielę zebrali się w sali senatu apelacyjnego sądu krajowego wszyscy urzędnicy tego sądu, grono naczelników sądów powiatowych, przybyłych z kraju, personal sądu powiatowego cywilnego i karnego oraz sądu przemysłowego. Prezydenta Brasona wprowadzili do sali wiceprezydenci dr. Pogorzelski i dr. Mendelsburg, poczem imieniem zebranych przemówił wicepr. Pogorzelski, podnosząc przymioty i zasługi p. Brasona w jego działalności urzędowej. Następnie zabrał głos pan Brason i w serdecznych słowach podziękował za wyrażone mu tak dobitnie uznanie i sympatyę.

Prezydent urodził się 7 września 1839 roku w Makowie. Po ukończeniu studyów wstąpił w roku 1861 do służby sądowej. W roku 1864 został mianowany adjunktem, w roku 1870 zastępcą prokuratora, a w cztery lata później prokuratorem w Nowym Sączu. Stamtąd został przeniesiony w tym samym charakterze do Krakowa, gdzie pełnił obowiązki prokuratora aż do lipca 1886 roku, w którym to czasie został mianowany radcą sądu kraj. wyższego w Krakowie. Po upły-



Lokaj księciem: Lokaj Michał Mazurkiewicz, który okradłszy swego pana w Warszawie, udawał w Krakowie księcia rosyjskiego.

wie pół roku został przewodniczącym sądu krajkarnego, a w roku 1897 prezydentem sądu krajowego, na którem to stanowisku pozostawał do 9 grudnia ubiegłego roku.

Lokaj księciem.

W ubiegłym tygodniu przybył do Krakowa jakiś elegancko ubrany młodzieniec, który zachowaniem się swojem zwracał powszechną uwagę. Zamieszkał w „Grand hotelu“, nawiasem mówiąc, jednym z najdroższych w Krakowie, sypał pieniędzmi naokół, tak, że łatwo mu przyszło wmówić w służbę hotelową i w przygodnych znajomych, iż jest księciem rosyjskim, który z powodów politycznych musiał uciekać zagranicę. Przedstawiał się wszędzie jako książę Michał Manorkiewicz. Wprawdzie „książę“ nie odznaczał się zbyt książęcemi manierami, obejście jego musiało nawet każdego razić, ale z początku sądzono, iż książę umyślnie w ten sposób postępuje, aby na siebie nie zwracać uwagi i zachować *incognito*. A ponieważ książę był bardzo hojny i przystępny, ponieważ przy okazyach suto swoim znajomym fundował, udało mu się przez kilka dni bujać swobodnie po Krakowie.

Wreszcie Manorkiewicz kupił sobie na przedstawienie w teatrze miejskim, dla własnej swojej osoby, trzy fotele w pierwszym rzędzie. Bileterowi, który go zdumiony zapytał, czy na dwa inne fotele kto przyjdzie później, książe kazał sprowadzić z ulicy jakiekolwiek kobiety „do towarzystwa“, jak mówił. To odrazu zwróciło na niego uwagę. Ponadto książę podczas przedstawienia zachowywał się poprostu niemożliwie, aż wreszcie usnął i począł chrapać. Na drugi dzień znowu kupił sobie lożę w cyrku i przyprowadził jako towarzysza jakiegoś chłopaka z cukierni. Zachowanie się jego w cyrku podczas zapasów było również zagadkowe, a przynajmniej, jak na księcia, nieodpowiednie. Ponieważ zaś książę szampanował srodze po restauracyach nocnych i rozsiewał złoto na wszystkie strony, zajęły się nim władze bezpieczeństwa i zaprosiły go „pod telegraf“. Na zapytanie, skąd pochodzi i skąd ma tyle pieniędzy, odparł: „Obywatelskie dzieczko jestem; kazałem sobie przysłać“. Odpowiedź ta spowodowała władze do zatrzymania go w areszcie. Książę stracił fantazyę i przyznał się, że nazywa się Michał Mazurkiewicz, był lokajem w Warszawie u dentysty Doroszewskiego przy ul. Dzikiej l. 37, któremu skradł 750 rubli w złocie. Na granicy przekupił żandarma, który go bez paszportu przepuścił do Galicyi.

Jak czytelnicy widzą na załączonej fotografii, Mazurkiewicz wcale na księcia nie wygląda.



W królestwie śniegu: Królewicz Olaf, następca tronu w Norwegii, syn króla Haakona VII. i królowej Maud, prawnuk świeżo zmarłego króla Chrystyana duńskiego.

W królestwie śniegu.

Co to za bobo w futerku białem w wózeczku? Przyszły dziedzic królestwa śniegu. O, bo tam o tej porze biało i zimno wśród fiordów norweskich, nad którémi będzie kiedyś po ojcu panował na tronie ten malec, tak uśmiechnięty jeszcze wesoło na załączonym tutaj portreciku. Ma dziś ledwie dwa latka, a kiedy się urodził na duńskim dworze w Kopenhadze, nikomu się nie śniło, że maleńki Olaf, który właśnie w tych dniach stracił rodzonego pradziadka w osobie króla Chrystjana, będzie wkrótce



W rocznicę zgonu szewca-pułkownika: Uczestnicy żałobnego nabożeństwa za ś. p. Jana Kilińskiego u OO. Dominikanów w Krakowie; grupa przed drzwiami kościoła. (Treść na stronie 17).



Zamknięcie gimnazyum im. Kościuszki w Warszawie: (Ryc. I.) Dom przy ul. Żurawiej, w którym mieści się prywatne gimnazyum T. Sierzputowskiego.



Zamknięcie gimnazyum im. Kościuszki w Warszawie: (Ryc. III.) Wnętrze jednej z klas pryw. gimnazyum T. Sierzputowskiego.

następcą tronu i to w samodzielnem królestwie Norwegii. Niedawne jej oderwanie się od Szwecyi i zdetronizowanie króla Oskara jako norweskiego monarchy, świeżo jeszcze mają czytelnicy w pamięci, jakoteż powołanie do Krystyanii na jego miejsce 34-letniego księcia Karola duńskiego, dziś już panującego w Norwegii króla Haakona VII. To właśnie ojciec małego Olafa, człowiek pono niezwykle sympatyczny, przystępny i miły w obejściu ze wszystkimi, a wielce wykształcony i artystycznie usposobiony. Kochano go w Danii, kochano go w Anglii, gdzie co rok długo przesiadywał jako zięć Edwarda VII; dziś, kiedy się stał prawdziwym Norwegczykiem, uwielbiają go nowi jego poddani, tembardziej, że nowy król zaraz po przybyciu do Krystyanii umiał sobie zdobyć popularność we wszystkich sferach ludności. To samo jego małżonka, królowa Maud, którą nazywano wprzódy jako benjaminka monarszej rodziny angielskiej. Lubo liczy ona dzisiaj lat 36, wszyscy w Londynie pamiętają najmłodszą księżniczkę dzieckiem, kiedy to nie można jej było dostarczyć dość lalek. Ale bo też obchodziła się z niemi nie delikatnie, mimo, że wszystkie kochała. Wnet odbijała im nosy, odrywała ręce i nogi, tak, że droższe, luksusowe musiano przed nią zamykać na dni powszednie. Dziś była księżniczka angielska, później żona księcia duńskiego — odkąd na złotowłosą głowę włożyła koronę królowej norweskiej — nie bawi się już lalkami, ma bowiem żywą a śliczną laleczkę, królewicza Olafa. Przyrzeka ona dzieciom z ludu, że jej synek wkrótce będzie się pospołu z niemi ślizgał, a wiadomo, że w Norwegii sporty zimowe to narodowy zwyczaj najmilszy. Tem też większą miłością otaczają nowi poddani królową Maud, ile że jest od lat najmłodszych zapaloną amatorką wszelkiego sportu i podobno wpajać chce to zamiłowanie i w swojego jedynaka.

Zamknięcie gimnazyum im. Kościuszki w Warszawie.

Pełen wesołego rozgwaru młodzieży szkolnej gmach kilkupiętrowy przy ul. Żurawiej l. 15 oniemiał nagle w sobotę 25 stycznia — zamknięto go bowiem z nakazu władzy.

Przeszło 400 uczniów tej niedawno z takim trudem i nakładem założonej przez Dra Tadeusza Sierzputowskiego szkoły prywatnej polskiej pozostało znowu bez nauki, bez tego wzorowego wychowania publicznego, które jej w tak szerokim i dobrze pomyślanym zakresie szkoła ta obiecywała.



Zamknięcie gimnazyum im. Kościuszki w Warszawie: (Ryc. II.) Założyciel i dyrektor pryw. gimnazyum im. Kościuszki, Tadeusz Sierzputowski.

Nie wiele mówiący, dwujęzyczny napis, widniejący na balkonie pierwszego piętra gmachu, jak wskazuje I-sza z naszych illustracyj, wykonanych podług zdjęć zakładu fotograficznego p. Kulewskiego — uzupełnić nam należy choćby kilku słowy.

Założyciel jej p. Sierzputowski, (illustr. II.) ożywiony szczerym zapałem pedagog, pełen umiłowania młodzieży i swego nauczycielskiego zawodu, poznał wcześnie na sobie samym niedostatki i niedomagania panującego u nas systemu nauczania i wychowania.

Zbrojny więc w naukę i doświadczenie wziął się z zapałem do wielkiego dzieła założenia wzorowej szkoły średniej polskiej, skoro tylko zabłysła pierwsza dla niej jutrzenka.



Zamknięcie gimnazyum im. Kościuszki w Warszawie: (Ryc. IV.) Grupa uczniów pryw. gimnazyum T. Sierzputowskiego.

Plan i program mając gotowy wniósł już wówczas do władz podanie o pozwolenie otwarcia szkoły, na to jednak przyszło mu czekać długo... aż wreszcie przy zmianie systemu doczekał się go późnej jesieni r. z.

Program zamykał właściwą szkołę średnią w sześciu klasach, zaś siódma i ósma stanowiły wyższe kursa przygotowawcze do uniwersytetu i tu dopiero mieścił się wykład łaciny jako potrzebnej tylko kandydatom nauk humanitarnych.

Mnożyły się z dniem każdym szeregi uczniów, że wkrótce rozszerzyć było trzeba pierwotny lokal dający uczniom pomieszczenie wygodne w klasach, przestronnych, jasnych, jak widzimy na załączonej III-ej illustracyi.

Wykłady w języku polskim a przytem przedmiotów tylu i tak potrzebnych i nie uwzględnianych w dotychczasowych szkołach, wreszcie przyjacielski, życzliwy stosunek profesorów do uczniów, wytworzył szybko tę ciepłą atmosferę wzajemnego zaufania, w której jedynie młodzież dojrzewać może i kształcić się z pożytkiem. Nie wykluczało to karności, opartej jednak nie na postrachu. Pozatem i na zewnątrz zespalał młodzież tej szkoły jeden i ten sam mundurek dla wszystkich, od najmłodszych do najstarszych, mundurek ciemny, zgrabnego kroju, jakby ułanki granatowej i ciemnych spodni, płaszcz z siwego sukna i — rogatywka wyższa nieco, noszona przez pułk piechoty hr. Działyńskich z r. 1831, z dwoma paskami amarantowym i białym w obwodzie ponad daszkiem. Strój ten skromny a piękny o charakterze narodowym, zgrabnie uwydatniał postać młodzieńca i co ważniejsza zobowiązywał go moralnie do poszanowania w nim godności własnej i zakładu, przecz cześć dla tradycyi narodowej.



Zamknięcie gimnazyum im. Kościuszki w Warszawie: (Ryc. V.) Dwaj uczniowie klas wyższych pryw. gimnazyum T. Sierzputowskiego.



Zasłużony obrońca: Stanisław Patek, adwokat przysięgły w Warszawie, obrońca przestępców politycznych.

Sympatycznie też powitała te nowe mundurki Warszawa, na której ulicach wykwitały one dwa razy dnia, jak kraśne kwietniki, kiedy gromadnie szli lub wracali ze szkoły uczniowie gimnazyum polskiego imienia Kościuszki, którem uczcił swój zakład p. Sierzputowski.

Illustracya IV-ta przedstawia właśnie liczniejszą grupę uczniów w rogatywkach. Twarze ich pełne, zdrowe, wesołe, oczy pogodne, jasne, promieniejące dumą i zadowoleniem, świadczą najlepiej o ich poczuciu się swobodnem w szkole.

Illustracya V-ta dwu starszych uczniów uwydatnia malowniczość i estetyczność stroju w całości.

Niestety—ani ustrój wogóle szkoły ani rozpoczęty bieg jej nie odpowiadał zapatrywaniom rządowych władz naukowych. Po pierwszem zebraniu rodzicielskiem zakazano odbywania następnych.

Wreszcie przyszło do zamknięcia z urzędu nowej szkoły.

Może Bóg da, że zamknięcie to będzie niedługie.

Bejot.

Zasłużony obrońca.

Rok już minął w listopadzie, jak krwawe wypadki na Placu Grzybowskim rozpoczęły cały szereg zaburzeń i wrzenia ewolucyjnego w Warszawie i w całem Królestwie, podobnie jak w głównych miastach Rosyi całej.

Ci, którzy w rozruchach i walkach ulicznych padli — a liczba ich przenosi dwa tysiące osób — stanęli już przed sądem Najwyższego.

Inna rzecz z tymi, którzy ujęci i wtrąceni do więzień, stawać mają i odpowiadać za swe czyny przed sądami czy to karnemi w okresie rządów cywilnych, czy to przed wojennemi w okresie stanu oblężenia.

Odpowiedzialność oskarżonych ciężka wobec pierwszych, staje się z reguły gardłową wobec drugich; tu i tam niezmiernie dużo zależy od obrońców prawnych, od ich znajomości ustaw, wiedzy, siły przekonania, właściwego ujęcia sprawy, taktu, odwagi, graniczącej nieraz z narażeniem się własnem, wreszcie od wymowy tem trudniejszej, że w języku rosyjskim wymaganej.

Na szczęście palestra warszawska posiada w swem gronie obrońców znakomitych, pojmujących swój obowiązek humanitarnie i po obywatelsku, gotowych jak lekarze lub księża każdej chwili do ratowania zagrożonych ciężką odpowiedzialnością wobec prawa. Wśród nich pierwszorzędne miejsce zajmuje adwokat przysięgły **Stanisław Patek**, (podobiznę jego podajemy czytelnikom powyżej) potomek w prostej linii owego ongi polskiego emigranta, który później zasłynął w Szwajcaryi niezrównaną konstrukcyą zegarków swego pomysłu, słynnych i cennych do dziś dnia.

Kiedy więc przyszedł rok ciężkich doświadczeń młody adwokat i zrozumiał nowe dla siebie wskazanie w ciężkich obowiązkach obrońcy ofiar politycznych. w obowiązkach, które nie przynoszą nic, prócz olbrzymiego trudu, odpowiedzialności i cierpień w razie przegranej sprawy, prócz tej jedynej wreszcie pociechy, jaką daje święte posłannictwo szermierza i obrońcy bezsilnych.

I oto od rana do nocy nie zamykają się już rok cały drzwi u dzielnego obrońcy. Do późnej godziny wieczorem pełny „gości“ przedpokój, pełna poczekalnia, pełny salon... Przez uchylone drzwi wciska się coraz to inna, smutku i żałoby pełna, postać do gabinetu obrońcy ze słowy:

— Uwięziono mi męża...

— Aresztowano mego brata i ojca...

—Syn mój nie wrócił już od tygodnia do domu...

— Siostrę moją wywieźli do cytadeli...

— Panie mecenasie ratuj, wzięli mego do cytadeli, zostałam z trojgiem dzieci bez chleba, bez opieki...

— Prosimy cię panie imieniem partyi o obronę Józefa **Kwiatka**, **towarzysza**, który na placu Grzybowskim etc...

— Powierzamy ci panie obronę Okrzei...

— Weź mecenasie obronę wszystkich uwięzionych „towarzyszów“ z „Kuryera codziennego“.

— Broń anarchistkę pannę Askenazy. — Oto co się słyszy nieustannie w kancelaryi Pateka.

A po takiej błagalnej prośbie następuje konferencya jedna, druga, dziesiąta w tej samej sprawie, a obok tych dzień każdy nowe przynosi, a wszystkie wymagają odwiedzenia więźniów w ratuszu, na Pawiaku, cytadeli, potem podań bez liku, w końcu czytania aktów śledczych i obrony przed trybunałem.

Szczęśliwe one bywają, przeważnie szczęśliwe, jak owe trudne Józefa Kwiatka, uwolnionego zupełnie od winy i kary.

Lecz są i tak nieubłagane, tak bolesne jak ś. p. Jana Okrzeji, skazanego na śmierć i powieszonego w lipcu z. r., mimo wszelkich trudów, zachodów i świetnej obrony.

Po takich zostaje tylko bolesne wspomnienie złączone z pozostawioną sobie na pamiątkę fotografią klienta, z dawnych chwil jego szczęścia, kiedy to siadywał między kochanymi siostrą a bratem, (jak powyżej przedstawia nasza rycina). *Bejot.*



Zasłużony obrońca: Broniony w sądzie przez adwokata Pateka, a niedawno w Warszawie powieszony Jan Okrzeja, w towarzystwie siostry i młodszego brata.



Niezwykli muzycy: Skrzypaczka Henryka Casadesus, założycielka paryskiego Towarz. dla starożytnych instrumentów muzycznych, które w tych dniach koncertuje w Krakowie i we Lwowie.

W rocznicę zgonu szewca-pułkownika.

Mieszczaństwo krakowskie składa co rok hołd pamięci Jana Kilińskiego, szewca warszawskiego, pułkownika 20 pułku piechoty b. wojska polskiego, członka Rady narodowej za czasów Kościuszki, urodzonego w Poznaniu r. 1759, zmarłego w Warszawie 29 stycznia r. 1817.

W tym dniu zgonu niezapomnianego bohatera urządza rokrocznie sławetny cech szewców w Krakowie nabożeństwo żałobne w kościele OO. Dominikanów, na które zwłaszcza młodzież rzemieślnicza i przedstawiciele mieszczaństwa nie zaniedbują nigdy przyjść tłumnie. Tym razem zastępy te były jeszcze większe, niż po inne lata. Na tradycyjne nabożeństwo ustawiono w poniedziałek w prezbiteryum olbrzymiej świątyni Dominikańskiej, w pobliżu nagrobka Leszka Czarnego, wspaniały katafalk, rzęsiście oświetlony i ozdobiony popiersiem Kilińskiego wśród chorągwi narodowych. Wokoło straż honorową tworzyli majstrowie szewscy z płonącemi świecami w ręku, dalej zaś chwiał się cały las barwnych sztandarów cechowych z chorągwią cechu szewców pośrodku, którego starszyzna wystąpiła gremialnie z buzdyganami w ręku.

Załączona na str. 15. ilustracya z fotografii umyślnie dla „Nowości“ zdjętej, przedstawia uczestników pamiątkowego obchodu rocznicy śmierci Jana Kilińskiego, w chwili, gdy wychodzono z nabożeństwa. Na tle cudnego portalu gotyckiego kościoła Dominikańskiego widzimy chorągwie cechów krakowskich i sztandary stowarzyszeń mieszczańskich i rzemieślniczych, majstrów szewskich ze świecami, starszych cechów z buzdyganami, weteranów z r. 1863, młodzież i publiczność patryotyczną.

Niezwykli muzycy.

Istnym archeologiem w dziedzinie muzyki instrumentalnej stała się artystka francuska, p. Henryka Casadesus, skrzypaczka, której podobiznę widzą czytelnicy obok. Ona to wspólnie z bratem swym, wybornym i cenionym artystą na wioli — postanowiła powołać do życia i reaktywować obywatelstwo w sztuce kilku instrumentom smyczkowym, których dźwięki mając w duszy, tworzyli tacy mistrze, jak Rameau, Couperin, Bach, Händel i t. d. Ideę zamieniono rychło w czyn zabrawszy się raźno do pracy i ćwiczeń.

Od lat kilku, tj. od kiedy młode towarzystwo pod przewodnictwem Kamila Saint-Saënsa, największego dziś z żyjących muzyków francuskich, stanęło na wyżynie artystycznej, popisuje się w całej Europie na następujących pięciu instrumentach: 1) Quinton (pani H. Casadesus-Dellerba) instrument o pięciu strunach, wielkością, tudzież kształtem, zbliżony do skrzypiec. 2) Viola d'amore (w Polsce znany dawniej i dość rozpowszechniony pod nazwą „wildamor“), na którym gra p. H. Casadesus, jest instrumentem o sześciu strunach górnych i tylu dolnych alikwolowych, cokolwiek większy od wioli. Ton ma bardzo miły i służył tylko do akompaniamentu. 3) Viola da Gamba (Marcel Casadesus) instrument o sześciu strunach, nieco mniejszy od wiolonczeli. 4) Kontrabas (p. Ed. Nanny) o pięciu strunach, wielkości dzisiejszego basu. Towarzyszy im na oryginalnym i antycznym „klawicymbale“ (Clavecin) p. Małgorzata Delcourt, wybitna pianistka paryska. Niezwykły zespół ten, którego występy zainteresował wielce naszych melomanów, koncertuje w tych dniach w imprezie Filharmonii lwowskiej w Krakowie i Lwowie. *—urs.—*

W sprawie naszej wielkiej szarady.

Stosownie do zapowiedzi w numerze 52 naszego pisma, o przyznaniu pierwszych pięciu nagród za dobre rozwiązanie wielkiej szarady, rozstrzygnęło ciągnienie na loteryi liczbowej wiedeńskiej z dnia 27 stycznia i tryesteńskiej z dnia 24 stycznia. Numera loteryi tryesteńskiej oznaczają serye, numera loteryi wiedeńskiej liczby porządkowe wygrywających. Według tych ciągnień, wygrały następujące numera i serye:

Loterya tryesteńska: Serye: 59, 87, 86, 43, 7,
Loterya wiedeńska: Numera: 73, 17, 43, 88, 41.

Nagrody więc otrzymali:

Pierwszą nagrodę serya 59, numer 73, to jest Wp. A. Gorczyński w Krakowie.

Drugą nagrodę serya 87, numer 17, to jest Wp. F. Marfiak w Jordanowie.

Trzecią nagrodę serya 86, numer 43, to jest Wp. J. Hen w Półwsiu Zwierzynieckiem.

Czwartą nagrodę serya 43, numer 88, to jest Wp. J. Gawrońska w Tartarowie.

Piątą nagrodę serya 7, numer 41, to jest Wp M. Krzysiak w Rzeszowie.

O przyznaniu dalszych pięciu nagród rozstrzygną ciągnienia **loteryi berneńskiej** z 31 stycznia (serye) oraz **loteryi lwowskiej** z 3 lutego b. r. (numera).

Plotki lwowskie.

Moje oburzenie na bar. Gautscha. – Powód wyszczególnienia hr. Pinińskiego. – Aranżer tańców Koła. – Szyby dra Byka. Bunt w Brygidkach a alternatywa więźniów. – Bilans policyi a jego braki. – Nowy dom waryatów a jego potrzeba. – Nieznajomość stosunków. – Zrównanie Krakowa ze Lwowem. – Najnowsza sensacya skarbowa czyli dziennikarz i jego projekt. – Nagroda skarbowa. – Kiedy będzie gotowy nowy regulamin Rady. – Słówko o zakładzie pogrzebowym miejskim. – Handlarz dziewcząt dybie na moralność Lwowa. – Reforma małżeńska.

Jestem szczerze oburzony na barona Gautscha, że szukając w Galicyi ministrów dla swojego gabinetu, zwrócił uwagę na jakiegoś hr. Pinińskiego i Bobrzyńskiego, a przeoczył takich mężów, jak ks. Stojałowski i jemu podobni. Wprawdzie hr Piniński za czasów, kiedy nam miłościwie panował, nauczał nas, co to stan wyjątkowy, zaś p. Bobrzyński umundurował nam uczniów szkół średnich, przemieniając bogatszych na kadetów, a uboższych na ekspresów, to jednak pomimo tych niezaprzeczonych zasług obu kandydatów na ministrów znalazłoby się wielu więcej zasłużonych w Galicyi mężów, którzy także się nudzą, drzemiąc na więdnących laurach i z gustem objęliby jaką taką tekę ministeryalną, poświęcając się dla ojczyzny. Dlaczego właśnie wziął na oko hr. Pinińskiego, to ma niby być zagadką, której rozwiązanie jest bardzo proste. Ani popularność hr. Pinińskiego nie zaimponowała premierowi, ani jego wykształcenie, ani jego zmysł polityczny lub rozum stanu — to wszystko są tylko puste domysły i kombinacye, pozbawione wszelkiej podstawy. Prawdą natomiast jest, że br. Gautsch słyszał już dawniej o zdolnościach muzyczno-kompozytorskich hr. Pinińskiego i to skłoniło pomysłowego premiera do zapamiętania sobie nazwiska namiestnika-kompozytora. Zrobił sobie węzeł na chustce do nosa i powiedział: czekaj przyjacielu, ja kiedyś będę potrzebował kompozytora. Teraz właśnie przyszła ta chwila stosowna, bo baronowi Gautschowi potrzeba na gwałt kompozytorów do swego gabinetu. Takich zdolności nie ma żaden członek Koła polskiego, nie wyjmując samego prezesa, który co najwyżej umie aranżować taniec swego koła w takt muzyki rządu. Ponieważ jednak w ostatnich czasach aranżer „Wojtek“ przyzwyczajony do starej muzyki, usłyszał nową, nieznaną mu dotąd aryę, więc stanął, a wraz z nim przestało się kręcić całe koło.

Mnie zresztą, jako referenta lwowskiego, obchodzić może przedewszystkiem zamiar pozbawienia nas na czas jakiś naszego kompozytora, a że takich właśnie mamy mało, przeto wolno mi było ująć się za swojem miastem.

Po za tem wszystko w porządku. Dr. Byk wstawił sobie już nowe szyby w miejsce wybitych przez syonistów z motywów politycznych, co przyczyniło się do znacznego uspokojenia umysłów i wywołało korzystne wrażenie w sferach miarodajnych. Tak samo szczęśliwie zażegnany został bunt w t. zw. Brygidkach, gdzie więźniowie postawili zarządowi zakładu karnego szereg postulatów, streszczających się w alternatywie: albo wykwintniejszy wikt, albo wypuszczenie na wolność. Nasi więźniowie bowiem, zorganizowani jako osobny stan i jednakowo umundurowani, uważają się niejako za funkcyonaryuszów rządowych, a idąc z prądem czasu, z powszechnem dążeniem do polepszenia bytu, żądają i oni poprawy wiktu, który jak dotąd, nie równa się nawet kuchni w restauracyi kolejowej II. klasy na dworcu lwowskim, choć, jak wiadomo, i ta kolejowa kuchnia jest już dość podła. Gdyby jednak zarząd ich życzeń nie uwzględnił, w takim razie dobrowolnie chcą podać się do dymisyi i wystąpić z więzienia. Ale jak monarcha czasem nie może przyjąć dymisyi ministra, tak i w tym wypadku dyrekcya więzienia nie mogła się zgodzić na masową emigracyę więźniów, tembardziej, że wobec bezczynności tut. policyi, nima pewnej nadziei, by nasze więzienia szybko się znowu zapełniły. Jeden strzał karabinowy odebrał zbuntowanym apetyt na jedno i drugie.

Co się zaś tyczy wspomnianej powyżej rzekomej bezczynności policyi, to na podstawie dopiero co wydanego sprawozdania tut. policyi za r. 1905 okazuje się, że pracowała ona sumiennie. Samo jednak sprawozdanie, jakkolwiek na pozór wyczerpujące, jest przecież nie całkiem dokładne, a owa niedokładność — to najciekawsze — nie przynosi ujmy naszej dyrekcyi policyi. I owszem, jest to jej wielką zaletą, a tą zaletą — skromność, mnisza skromność. Wyliczono bowiem w rzeczonem sprawozdaniu z matematyczną ścisłością wszystkie aresztowania i powody aresztowania, wszystkie nieszczęśliwe wypadki, mordy, samobójstwa, upadki, skaleczenia, kradzieże i t. d., jednem słowem wyliczono wszystko, a tylko pominięto i zupełnie zignorowano najciekawszą może i najobfitszą rubrykę: czyny bohaterskie policyantów lwowskich i zwycięstwa policyi. A byliśmy właśnie ciekawi poznać urzędowy wykaz statystyczny tych czynów, które przez cały rok były przedmiotem rozmów, artykułów dziennikarskich, śledztw sądowych, interpelacyi sejmowych itd.

Zresztą wszystko w porządku. Nowy dom waryatów, jaki ma stanąć w zachodniej Galicyi, napełnia nas wszystkich prawdziwą radością. Piekąca potrzeba takiego zakładu daje się już oddawna odczuwać w Galicyi, a jedyny zakład kulparkowski nie odpowiada nawet potrzebom samego Lwowa. Gdybyśmy żyli w stosunkach uregulowanych, miałoby każde większe miasto swój dom waryatów a pewnie nie zabrakłoby mu pacyentów. Nieszczęście tylko w tem, że nie wszystkich waryatów oddaje się u nas do zakładu obłąkanych, ale pozwala się im zasiadać w urzędach, piastować mandaty, wydawać dzienniki, pisać wiersze, dramaty, recenzye — i to wszystko bezkarnie. Może więc bodaj nowy zakład dla Galicyi zachodniej choć w części zaradzi potrzebie. Sam zaś wybór miejsca (zachodnia Galicya) świadczy o tem, że uwzględniono tu centrum partyi konserwatywnej i jej potrzeby. Ostatnie jej zachowanie się wobec zamierzonej reformy wyborczej zadecydowało o wyborze miejsca. Zadziwia tylko wszystkich projekt urządzenia zakładu na 500 łóżek zaledwie, co znowu świadczy o rażącej nieznajomości stosunków i stanu umysłowego mieszkańców. Zresztą nie chodzi tu o łóżka, ale o byle jakie umieszczenie, bodaj na strychu, byleby zdrowych jeszcze mieszkańców uwolnić od grożącego im zakażenia.

Będziecie więc mieli w zachodniej Galicyi, a może nawet i w samym Krakowie, nietylko konną policyę, ale i swój Kulparków, czem zrównacie się ze stolicą prawie zupełnie, a cała nasza wyższość zredukuje się do opery z p. Grąbczewskim „na szpicu“ i do gmachu krajowej dyrekcyi skarbu obok wstydliwego gmachu muzeum przemysłowego.

Skoro już mówię o dyrekcyi skarbu, wypada mi także wspomnieć o najnowszej sensacyi skarbowej, którą jednak powtarzam na odpowiedzialność kilku nieodpowiedzialnych redaktorów lwowskich. Z powodu ostatniego rozstrzygnienia Trybunału administracyjnego, że podania z doniesieniem o zamierzonem przedstawieniu amatorskiem należy ostemplować na jedną koronę, jeden z dziennikarzy lwowskich, rozpatrując tę sprawę, zauważył mimochodem, że ten nowy stempel jeszcze nie poratuje finansów Austryi, ale należałoby raczej ustanowić stempel na t. zw. *„Gesundheitspapier“*, fabrycznego i domowego wyrobu. Eksc. Korytowski przeczytał artykuł dwa razy, myślał dziesięć minut i przyszedł do przekonania, że projekt jest bardzo poważny i praktyczny, a autor projektu mógłby jako znakomitość skarbowa, oddać państwu a raczej jego skarbowi niezliczone usługi. Zaprosił tedy redaktora do swego biura i we dwójkę omawiali dalej szczegóły projektu. Wiceprezydent Korytowski w trakcie narady wzbogacił projekt w nieocenione szczegóły, podnosząc między innymi, że należy zrobić różnicę między tzw. obstrukcyonistami a tymi z przeciwnego obozu, czego zresztą sprawiedliwość skarbowa wymaga, bo słusznem jest, ażeby ci pierwsi z powodu mniejszego zapotrzebowania płacili np. stempel podwójny lub potrójny. Autorowi projektu zaofiarował wiceprezydent Korytowski posadę VIII rangi, którą też odrzucił, wymawiając się czynnościami swego zawodu. W trzy dni po tej audyencyi otrzymał z administracyi podatków pismo tej mniej więcej treści: „Ponieważ okazało się niezbicie, iż wystawiona przez pana fasya podatku osobisto-dochodowego jest niezgodna z prawdą, gdyż nie chcąc przyjąć posady nawet VIII rangi, pobierasz pan przynajmniej płacę, równającą się płacy urzędnika państwowego w VII randze, przeto wymierza się panu podatek osobisto-dochodowy w wysokości odpowiedniej płacy urzędnika państwowego w VII klasie rangi“. Podpis nieczytelny.

Po za tem wszystko w porządku. Nawet nowy regulamin dla Rady miejskiej, nad którym rajcowie od trzech lat się naradzają, postąpił o krok naprzód i według obliczenia jednego z radnych jest poważna nadzieja, że, skoro w trzech latach uchwalono przeszło dwadzieścia paragrafów, to reszta 80 paragrafów powinna potrwać najwyżej trzydzieści i sześć lat, jeżeli nic takiego nie zajdzie, coby dokończeniu regulaminu stanęło na drodze, np. przewrócenie się ratusza do góry nogami, trzęsienie ziemi, zapadnięcie Lwowa itp. To samo dałoby się powiedzieć o miejskim zakładzie pogrzebowym, który jako taki jest cennym unikatem, bo dotąd ani jednego obywatela nie pochował. Na razie więc p. Kurkowski i jego konkurenci grzebią zmarłych obywateli po cenach konkurencyjnych i na raty, noworodki wrzucamy do dołów kloacznych i kanałów, co jest procederem krótszym i tańszym i co tym aniołkom na jedno wychodzi, a z zaczadzonych kochanków robimy sensacyjnych samobójców, zaglądamy im do brzuchów i zamykamy do kryminału.

Zresztą wszystko w porządku.

Wprawdzie zamknięto jakiegoś znakomitego i bardzo eleganckiego handlarza pięknej płci, który lwowskie damy z ćwierćświatka wysyłał zagranicę, ale stało się to już po uskutecznionej wysyłce, więc policya nie wyrządziła i tym razem wielkiej szkody. Powód zaś aresztowania był dość słuszny, gdyż we Lwowie, gdzie jest zaledwie kilkanaście tysięcy dam z ćwierć- i półświatka, lada ubytek dałby się rażąco odczuwać. Aresztowanie znakomitego handlarza dziewcząt uspokoiło opinię.

Zaniepokoiła się natomiast piękniejsza część tej opinii, mianowicie ta gadatliwsza jej połowa, na wieść o bliskiem już uskutecznieniu tak dawno projektowanej reformy małżeńskiej. Głównie chodzi o umożliwienie rozwodów, do których tęskni dużo na pozór rozkochanych w sobie małżonków. Już król Salomon, którego pantalony nawet słyną z mądrości, twierdził, że kobieta jest zagadką i że niema na świecie dobrej ze wszech miar kobiety, a twierdził to na podstawie wielkiego doświadczenia z tysiącem swoich żon. Jakże można żądać, by przeciętny człowiek, który nie jest Salomonem, już przed ślubem rozwiązał swoją ukochaną zagadkę, albo nie rozwiązawszy jej, wiązał się z nią na całe życie bezpowrotnie? Tak rozumując, żądają niektórzy małżonkowie umożliwienia rozwodów z możliwością poślubienia innej kobiety. Bo swoją drogą odziedziczyliśmy to po Salomonie i nie wierząc jego doświadczeniu, chcemy sami robić próby i tak w nieskończoność rozwiązywać bajecznie piękne zagadki. Ale rozwiązywanie trudnych zagadek szkodzi mózgowi, a mózgów salomonowych dziś nie ma. Dziś taki Salomon dostałby się sto razy do domu waryatów, gdyby się tylko o tuzin zagadek pokusił. A więc uspokójcie się, piękne zagadki... Zresztą wszystko w porządku. *Klewe.*

Kącik humorystyczny.

Szczyt blagi.

W pewnem towarzystwie opowiada jeden z panów, który niedawno powrócił ze Szwajcaryi, swoje wrażenia z podróży.

— Wiecie państwo! — rzecze. — To echo w Alpach jest wprost niezrównane! Każde słowo tysiąckrotnie, wiernie się powtarza....

— To jeszcze nic! — rzecze znany na bruku krakowskim blagier pan D.... Byłem zeszłego roku w Norwegii w górach nad morzem... ledwiem wypowiedział: dzień dobry — a już zaraz echo powtarzało: dzień dobry, padam do nóg, całuję rączki, sługa, moje uszanowanie....

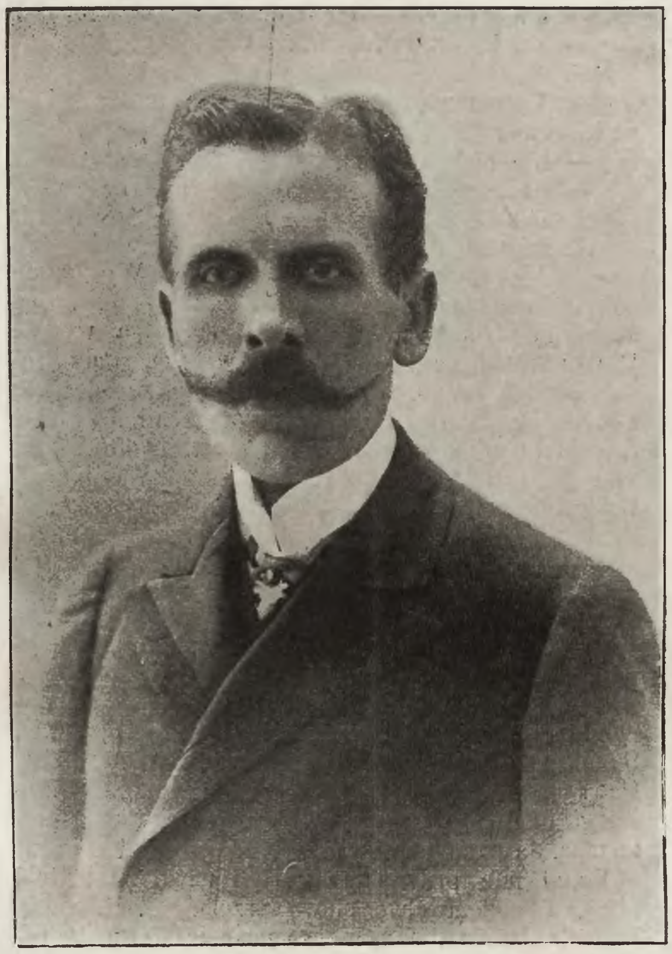
Władysław Cyrbes.

Ciężkie warunki bytu i praca na chleb powszedni, nie pozwalają wszystkim artystom trzymać się tych większych środowisk społecznych, z których sztuka, szukająca zawsze przytułku i zrealizowania swych produktów — potworzyła większe, pulsujące życiem i twórczością oazy artystyczne — lecz każą w pogoni za chlebem szukać dalszych rynków zbytu na swą pracę i na swoją twórczość. Takiemi rynkami zbytu na pracę muzyczną są miasta prowincyonalne, a wykształcony i oddany swej sztuce muzyk, prawdziwy pionier sztuki i wiedzy muzycznej przyjmowany jest z otwartemi ramionami.

Znaną sentencyę o tem, iż „kogo bogowie znienawidzili, kazali mu być pedagogiem", odczuwają właśnie muzycy najgorzej, bo jeślijakakolwiek praca pedagogiczna jest trudną i wytężającą, to praca pedagoga muzycznego, chyba najtrudniejsza i najcięższa.

Jeśli się doda do tego walkę z urojonemi ambicyami i ambicyjkami rozmaitych miernot dyletanckich — lub amatorów samouków z pod ciemnej gwiazdy — to jasne jak na dłoni jakiemi męczennikami kultury muzycznej, jest tych kilkunastu, czy kilkudziesięciu muzyków zmuszonych pracować na odległej prowincyi i tam szerzyć zamiłowanie do najpiękniejszej ze sztuk. — Jeżeli się doda do tego brak towarzystwa zawodowego, brak kogoś, z kimś konieczną rzeczą byłoby nieraz porozumieć się w danej kwestyi czysto muzycznej natury — a omawianie jej z profanami byłoby świętokradztwem — widocznem jest, iż pionier taki bywa niekiedy i męczennikiem.

Do niewielkiej liczby tych pionierów sztuki muzycznej w Galicyi, należy poważny i zamiłowany w swej sztuce muzyk, a niepośledni pianista p. Władysław Cyrbes, dyrektor Towarzystwa muzycznego w Przemyślu. Ćwierć wieku dobiega, kiedy marząc o świetnej karyerze opuszczał wraz ze swym przyjacielem Janem Gallem podwoje monachijskiego konserwatoryum z patentem w kieszeni. Młoda dusza rwała się do estrady, do tłumu, wobec którego pragnęła dać upust swym aspiracyom



Władysław Cyrbes.

i temperamentowi. Lecz były to czasy trudne dla młodzieży muzycznej. Wezwanych było wielu — wybranych mało. Co krok, wróg lub niechętny — warunki pracy prawie niemożliwe. Społeczeństwo nasze wierzyło tylko w talenta zagraniczne (ta wiara utrzymuje się jeszcze do dziś dnia). Obcemu łatwo było o pracę, o zbyt talentu, swojemu trudniej. Pełen nadziei artysta musiał poprzestać na pracy w muzyce najniewdzięczniejszej, na pracy pedagogicznej.

Lecz każda praca, jeśli się jej kto oddaje z zapałem, wiarą i szczerością, nosi najpiękniejszą nagrodę w samej sobie. Z radością też, a także z dumą może p. Cyrbes rzec sobie w każdej chwili, licząc swych zdolnych i muzykalnych uczni — że ciężka jego praca, poza zapewnieniem bytu, znalazła także i lepszą nagrodę — postęp...

Przy pomocy wysoce uzdolnionej pianistki, niegdyś swej uczennicy, a następnie żony p. Wandy z Wostrowskich, wychował całe pokolenie pianistowskie w Przemyślu i okolicy — w miejscowości tak wszelkiej polskiej pracy kulturalnej niepodatnej wskutek nagromadzonej tam olbrzymiej ilości żywiołów germańskich, naszej kulturze nieprzychylnych.

Dla tych, którzy ciekawi są dat biograficznych zasłużonego muzyka, podać muszę, iż urodził się w Czudcu 1851 r., do gimnazyum uczęszczał w Krakowie, ucząc się w szkole Towarzystwa Muz., a następnie u Kazimierza Hoffmanna gry fortepianowej. W roku 1873 wyjechał do Monachium i studyował tu grę fortepianową u Bormanna, harmonię i kontrapunkt u profesorów Sachsa i Kleinbergera. Po powrocie do kraju, uczył przez kilka lat w zakładzie OO. Jezuitów w Tarnopolu, następnie w Tow. Muz. w Rzeszowie. Przed kilkunastu laty założył wraz z żoną szkołę muzyczną w Przemyślu, gdzie od roku 1901 kieruje jako dyrektor miejscowem Towarzystwem muzycznem. — Cyrbes jest autorem licznych kompozycyj fortepianowych, które wyszły nakładem księgarń lwowskich. Ostatnią wiązankę doskonałych i pięknych utworów, wydała księgarnia Krzyżanowskiego w Krakowie. Są to utwory fortepianowe (Menuet, Mazurek, Humoreska, Tęsknica itd.) i utwory na chór męski. Te ostatnie cieszą się wielkiem powodzeniem u naszych towarzystw śpiewaczych, a śpiewane przez lwowskie „Echo" pod batutą Galla na zjeździe śpiewackim w warszawskiej Filharmonii, były gorąco oklaskiwane.

Dzielnemu pionierowi kultury muzycznej na prowincyi, życzymy sił do dalszej pracy.

— *.urs.* —

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył **M. S.**

24

(Ciąg dalszy).

Nazwisko to wypowiedział ktoś pod adresem młodego, zblazowanego człowieka, który zajmował honorowe miejsce za stołem, a brzmiało ono wyraźnie „Springer".

Amerykanin bacznie zaczął się przysłuchiwać tej rozmowie i słyszał wyraźnie, jak jeden z biesiadników roześmiał się wesoło:

— A teraz, Cezarku, musimy ci chyba życzyć, aby ta przedsiębiorcza Amerykaneczka nie uciekła ci kiedyś z domu z kim innym, tak, jak uciekła z tobą od twego ojca! Uważaj chłopie, to leży w krwi jej widocznie!...

Ogólny huczny śmiech powitał ten dwuznaczny dowcip, a narzeczony nie tylko nie poczuł się nim obrażony, lecz owszem pierwszy zaczął bić brawo, ale Fred Archer uczuł dziwny jakiś skurcz serca i choć wmawiał w siebie, że ubliżyłby Helenie, gdyby myślał, że ona właśnie jest tą Amerykaneczką, to jednak podchwytywał każde słowo, które tylko padło przy stole, aby nie stracić wątku rozmowy i dorozumieć się, o co chodzi.

— Swoją drogą — rzekł ktoś — że chyba z pozoru nikt nie posądzałby jej o tyle temperamentu! I dziś mówią jeszcze o niewiniątkach! Ba, trzeba lepiej znać nasze panny!

Mgła przysłoniła oczy Archera. Kurczowo uchwycił w ręce poręcz swego foteliku i musiał użyć całego wysiłku woli, żeby usiedzieć spokojnie, aby nie wybuchnąć. Przecież to, co słyszał, mogło się odnosić do innych osób, przypadkowo tylko noszących cechy podejrzane. Amerykanin chciał wmówić w siebie, że byłoby głupstwem, gdyby się tem denerwował i gdyby sądził, że te uszczypliwe dowcipy odnoszą się do Heleny, za której niewinność położyłby głowę pod topór. I ch ć rwało mu się serce, siedział dalej z całkiem obojętną niby miną. Ba! nawet zadzwonił już na kelnera, aby wyrównać rachunek i opuścić restauracyę, gdy nowy toast zwrócił jego uwagę:

— A więc, panowie, wychylmy do dna ten puchar za zdrowie pięknej panny Heleny i jej śmiałego uwodziciela, który co prawda nie jest Parysem, lecz Cezarem!

Zadzwoniły kieliszki i w tej chwili jeden z nich padł na ziemię. Na ramieniu młodzieńca, który wzniósł toast, sparła się ciężko dłoń Amerykanina. Oczy jego błyszczały, jak źrenice wilka wśród nocnych ciemności, a na twarzy malował się taki wściekły gniew, że wszystkich biesiadników przeszedł dreszcz strachu.

— Proszę pana wymienić mi całe nazwisko tej damy, o której teraz mówiłeś — wyszeptał Amerykanin drżącym ze wzruszenia głosem — proszę! a raczej domagam się tego!...

To całkiem niespodziewane wystąpienie zmieszało na chwilę biesiadników, ale zanim zagadnięty przyszedł do siebie i zanim zdołał cośkolwiek odpowiedzieć, zerwała się burza okrzyków na Amerykanina, który nie przedstawiwszy się, zepsuł całą zabawę. Wszyscy otoczyli inżyniera, ale ten stał spokojnie i podniesionym głosem powtórzył swe zapytanie, a napadnięty, czując koło siebie tylu przyjaciół, odzyskał odwagę i rzekł szorstko:

— Tam do dyabła! Skądże pan masz prawo do takich pytań? Za tę bezczelność porachujemy się, mój panie!

Ale nim dokończył tego zdania, Archer stracił już moc panowania nad sobą, odtrącił silnie mówiącego na bok i jednym skokiem stanął przed Cezarem Springerem.

— Zapewne, jeśli tamci tchórze nie mogą się zdobyć na otwartą odpowiedź, to ją od pana posłyszę! W każdym razie jestem potem gotów dać panu i jego przyjaciołom zupełne zadośćuczynienie!

Cezar był jeszcze bledszy, jak zwykle, ale umiał ukryć swój chwilowy przestrach i krzywiąc usta do uśmiechu, rzekł na pozór całkiem spokojnie:

— Nazywam się Cezar Springer i mam zaszczyt być zaręczonym z panną Heleną Springer, córką mego zmarłego stryja Rudolfa Springera! Czy to panu wystarcza?

Archer sparł się obu dłoniami na stół, jakby obawiał się upaść w tej chwili.

— Kłamiesz łajdaku! — krzyknął tak głośno, że aż echo rozległo się po całej sali — kłamiesz i w tej chwili musisz to odszczekać!...

Powstało ogólne zamieszanie, lecz Cezar, choć nie należał do wielkich zuchów, umiał zachować się w tej sytuacyi, która swoją drogą była dlań całkiem niezrozumiałą.

Wyprostował się więc tylko, cofnął krok wstecz i rzekł niby bez żadnego wzruszenia:

— Pańskie zachowanie się dowodzi, że jesteś albo niepoczytalny, albo mimo wczesnej pory już całkiem nieprzytomny, nie możesz więc nikogo obrazić i najwyżej każę pana wyrzucić stąd przez kelnerów!...

Gdyby Archer nie odzyskał właśnie zimnej krwi napowrót i gdyby był pozwolił dalej unieść się gniewowi, musiałby pewnie stoczyć walkę z przeważającą siłą przeciwników i kto wie, jakiby był jej wynik. Ale młody Amerykanin wczas zdołał się opanować i rzekł chłodno:

— Więc pan nie cofniesz tego, co mi przed chwilą powiedziałeś?!

— Ja zawsze odpowiadam za to, co raz powiem i słów wyrzeczonych nigdy nie cofam, zwłaszcza wobec ludzi tego, co pan, pokroju!...

— Niech-no się pan tylko pan nie spieszy, mój panie! — odpowiedział Archer — ja panu mogę dać zawsze satysfakcyę, a pijany wcale nie jestem! Pan to wraz ze swoimi towarzyszami w najbezczelniejszy sposób ubliżałeś pewnej damie, na moje zaś pytanie oświadczyłeś, że dama jest pańską narzeczoną. Powiedziałem, że pan kłamiesz i powinieneś być mi wdzięczny, że... nie mogę przypuścić, abyś żenił się z taką osobą, jak ją określili pańscy przyjaciele! Ale — tu głos Amerykanina zadrżał gniewem — ale jeśli pan istotnie jesteś narzeczonym panny Heleny Springer, to pańskie postępowanie i przytakiwanie dowcipom, jakie tu słyszałem, jest tak bezwstydne, tak bezczelne, że zasługuje na jedną nagrodę: na obicie laską, bo ręki szkoda na pana!...

Powstał hałas nie do opisania i wszyscy cisnęli się do obu przeciwników, bo byli pewni, że obrażony rzuci się z pięściami na nieznajomego, a nikt nie chciał dopuścić do takiej ostateczności. Ale Cezar nie myślał o tem wcale, choć gniew zakipiał w jego duszy.

Nie ruszył się z miejsca, lecz syknął tylko ze złością, gdy hałas ustał na chwilę:

(Ciąg dalszy nastąpi)

LUDWIK STASIAK.

Reprezentant redakcyi.

Humoreska z opowiadań analfabety.

(Ciąg dalszy).

Przy stołach siedzi kilku panów. Zbliżyłem się do pierwszego. Krzyknął na mnie:

— Czego?!!

— Chciałbym też proszę pana...

— Czekać!!!

Pisał i pisał; to co pisał, półgłosem powtarzał.

— Talent naszej naiwnej jest w fazie szczęśliwej ewolucyi, która w dziedzinie sentymentalnych kochanek może osiągnąć wielkie rezultaty. Co do zespołu, który z bohaterem tragicznym napróżno się chciał na jedną zestroić nutę, to mamy do zauważenia, że...

Z bocznych drzwi wpadł jakiś człowiek. Piorunowe jego oczy poleciały na pokój. Słyszałem przez otwarte drzwi, że nazywano go panem redaktorem. Wpadł do pokoju. Pędzi, potknął się na mnie; pchnięty, poleciałem na drugą stronę izby, on woła:

— Nie walić mi od dziś dnia „ze stowarzyszeń“ dużemi czcionkami, powiedz pan temu pijakowi, żeby składał na petit!

Poleciał przez pokój, wypadł drugiemi drzwiami, a ja zbliżyłem się do drugiego stolika.

— Czego?!!!

— Chciałbym też proszę pana...

— Czekać!!! — krzyknął na mnie ten drugi pan i pisał dalej i mówił dalej: Anglia powinna to wiedzieć, że są moralne granice, po za które nie wolno wychodzić nikomu, jeśli zaś mimoto sprawy tybetańskie opportunistycznym pójdą torem...

Znowu z bocznych drzwi wypadł ten sam, co pierwej pan. Wpadł na mnie; pchnięty, wleciałem pod stół, on zaś woła:

— Proszę mi kilometrów o radzie miejskiej nie dawać, ośmdziesiąt wierszy wystarczy, nie będę kolumn zapychał byle sieczką!!!

Wpadł do przeciwnych drzwi, ja wylazłem z pod stołu, zbliżam się znowu do innego...

— Czego?!!!

— Chciałbym też proszę pana...

— Czekać!!! — krzyknął, aż skończę ogień kominowy i zamiatanie ulic!

Byłem trochę oszołomiony. Nie, tu niema lekarstwa na boleści w kiszkach, przeciwnie, tu można dostać boleści w kiszkach! Zbliżyłem się do czwartego stołu, piszący przy nim pan spojrzał na mnie okiem tygrysa:

— Sprostowanie?!!!

Strach zamknął mi usta, a człowiek, straszliwy ów człowiek chwycił mię za gardło i rzucił do piątego stołu, wrzeszcząc:

— Sprostowania tam!!!

Pan od piątego stolika skoczył, zajechał na mnie do szóstego stolika i wrzeszczy:

— Sprawy osobiste tu!!!

A numer szósty chciał mi wybić zęby, rzucił mną do pierwszego stolika i wrzasnął:

— Reklamy tam!!!

Z bocznych drzwi znowu wypadł redaktor, trącił mię, że wleciałem pod kanapę, gdy zaś z pod niej wyszedłem, zmierzył mię straszliwym wzrokiem:

— Coś pan za jeden?

— Jestem Stanisław Sikora...

Spojrzał na mnie, spojrzał na mój angielski surdut, na moją krawatkę pierwszej mody... zamyślił się, zaśmiał się. Z ust jego szła lawina słów. Do słowa przyjść mi nie dał.

— To pan, kochany panie!! Ależ to bardzo dobrze. Nasz długoletni korespondent ze Sanoka. Patrzcie panowie, oto przyjaciel naszego pisma, Stanisław Sikora. Dobrze, żeś się pan nareszcie zdecydował nas odwiedzić. Wczoraj pisałem do pana. My panu jesteśmy bardzo wdzięczni. Pańskie notatki ze Sanoka są bardzo dobre. Piszesz pan same senzacye. W tej chwili panu służę. Dzwonią na mnie. Telefon. Zaraz. Halo! A kto tam? Co? Hę? Grand Hotel?! Dziś? Zaraz?! Jakto zaraz?! Ja nie mogę zaraz. Musi być? Ależ nie może być! Co pan mówi?! Ja nie mam żadnego żalu. Zapewniam pana, że żalu nie mam, ani nienawiści. No więc, aby panu udowodnić, że w niepamięć puszczone, stawi się na obiad jeden z członków redakcyi. Ręczę, że się stawi. I ja przyjdę, ale o trzeciej. Halo! Do widzenia, kochany panie!... Halo!

Główny redaktor zwrócił się teraz do pięciu piszących panów i mówi:

— Proszę panów, jeden z was musi iść imieniem redakcyi zjeść w Grand-hotelu śniadanie.

— Ja nie pójdę bezwarunkowo — rzekł pierwszy.

— Mam gości — rzekł drugi.

— Muszę interwiewować ekscelencyę — rzekł trzeci.

— Jestem zaproszony do ciotki i muszę iść — rzekł czwarty.

— Nie podołam korekcie — rzekł piąty.

— Piszę całą korespondencyę do Lwowa — rzekł szósty.

Główny redaktor zamyślił się.

— Ależ to straszne, moi panowie. Wy znacie mój stosunek do nowego domu bankowego, który śniadanie dziś wydaje. Uważali mnie za wroga. Prezes sądził, że ja radbym go w łyżce wody utopić. Myślał, że go nienawidzę, że mu na zdradzie stoję. Wczoraj rzecz się trochę wyjaśniła. Trochę. A dziś prosi mię na uroczyste otwarcie filii. Musi ktoś z nas być. Musi być reprezentant redakcyi. Bo gotów myśleć, żem ja śmiertelny ich wróg...

Myślał znowu redaktor. Myślał chwilę, nagle zwrócił na mnie oczy, uśmiechnął się, wziął mnie za klapy surduta.

— Ależ pan pójdziesz imieniem redakcyi!

Nie dał mi przyjść do słowa. Z ust jego płynęła lawina słów.

— Pan masz pełne prawo zastępować redakcyę, której członkiem w istocie jesteś. Mój panie, Sanok to bardzo ważny posterunek. Bardzo ważny. Pan jesteś niejako redaktorem naszym na Sanok i jego okolice. Odmowy nie przyjmuję. Chodź pan ze mną. Ja pana zaprowadzę. Kilkadziesiąt kroków.

Wziął mię prawie przemocą i wiódł po jakiejś ulicy. Chciałem choć słowo przemówić. Nie dał. I po drodze ja nie mogłem wymówić słowa, bo redaktor mówił ciągle. Wrzucił mię do jakiejś bramy i oddał jakiemuś panu we fraku.

(Dokończenie nastąpi).

Rozwiązania zagadek z Nru 3.

Szarada:

Choinka.

Arytmogryf:

W
Zośka
burza
mól
Baden
Hania
Brody
Mucha
Dante
Dniestr
Frejend
Marceli
Karpiński
Lessing
Tatrzecia
Dym

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: J. Czechowicz Mikołajów, W. Karatnicki Worochta, H. Szczerbowa Majdan, N. Zgorlakiewiczówna Kraków, M. Świtkowska Kraków, J. Janusz Tartarów, H. Doening Scl odnica, W. M. Cellerin Bukowsko, K. Fuchs Peczeniżyn, A Miłkowski Bełz, J. Robak Kraków, Z. Ciechanowska Stary Sambor, W. Kulczyńska Kraków, J. Rodakowska Kulików, W. Pytlik Ujkowice; B. Pieterkiewicz Czerniowce, Wł. Nowiccy Wiśnicz, Z. Ziembowicz Mikołajów, A. Pukalski Andrychów, J. Maniecki Nawojowa, R. Żabka Biała, E. Illukiewicz Sambor, Wł. Dobrowolski Mościska, Wł. Giżowski Krynica, Tow. „Zgoda“ Krosno, F. Niepokój Krosno, J. Bojuk Bełz, K. Łaszkiewicz Sambor, B. Ramułtowa Jeżów, J. Jaroszkówna Przybysławice, Król. Polskie, C. Głębocki Kraków, B. Moszyński Drohobycz, B. Rudkowska Dąbrowa, A. Sanetra Założce, K. Ludwig Borysław, W. J. Czaczka Rzeszów, H. Popielówna Buczacz. A. Popielówna Buczacz, M. Zollnerówna Tarnopol, L. Fortuna Kęty, A. Głownia Krzeszowice, E. Fullerówna Rzeszów, H. Ulrich Malin, T Domain Sanok, B. Wersmanówna Limanowa, A. Janowski Bóbrka, M. Mieses Przemyśl, L. Świeżawska Gładyszów, St. Staśko Dębniki, G. Füchsbalg Lwów, K. Radwański Nowy Sącz 2, Stasia Borzemska Sarnki górne, H Leligdowicz Fraga ad Rohatyn, E. Bogdalska Koropuż, A. Czaprański Wojniłów, S. Samueli Limanowa, A. Bocsoń Bóbrka, M. Rożański Gorlice, St. Cyran Jasło, A. Knapińska Kraków, M. Arbesbauer Lwów. M. Opolska Czarny Dunajec, J. Wesoła Lwów, K. Słoniowski Zielona, J. Czader Stara wieś, Z. Szymczakowska Kraków, A. Zimer Mikulińce, M. Cetera Dubiecko, W Źralski Podgórze, H. Zielińska Manajów, K. Chłopicka Zawadów, F. Günzburg Warszawa, L. Proszowska Warszawa, K. Jurkiewicz Tłómacz, J. Kuczericzka Hladki, J. Duszyński Niepołomice, H. Mokrzycka Turbia, St. Gajdeczka Zapałów, Czytelnia mieszczańska Kęty, St. Mika Nowy Sącz, G. Krasuski Winniki, J. Ramoszyńska Borysław, T. Wołczyński Małkowice, A. Bassara Niwiska, A. Starczewski Ottynia, J Miciek Truskawiec, J. Mickiewicz Truskawiec, Fr. Hudyma Truskawiec, L. Maruszczak Jezierzany, K. Chodkiewicz Zbydniów, J. Bazylewi z Jaktorów, E. Nowak Wysoczanka, J. Sułkowski Kraków, I. Pompianka Kraków, J. Aleksandrowicz Kraków. St. Grodeccy Leżajsk, J. Badura Rożdzień, H. Plechawska Stanisławów, J. Wróbel Łękawica, F. Jeleński Nowy Targ, A. Batko Lwów, K. Jasiński Sambor, Kółko rolnicze Majdan Zbydniowski.

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożyły H. i A. Popielówne w Buczaczu.

Pierwsze dziś się słyszy wszędzie
W ochoczej młodzieży rzędzie.
Ton muzyczny *druga* sama
Ma ją zatem każda gama.
Zaś *pierwsze, drugie* i *trzecie*
Wszyscy z łatwością znajdziecie
Wśród poezyi drobnych wianka
Bo jest wśród nich „Świtezianka“.
Druga z trzecią wszyscy znamy
To tytuł angielskiej damy.
Czwarta wspak z trzecią czytana
To nazwa gór, dobrze znana,
Góry te dumnymi szczyty
Amerykańskie porzą błękity.
Całość – tragedya pełna boleści
Na starych dziejów osnuta treści.

Logogryf.

Ułożyła A. Zimer, Mikulińce.

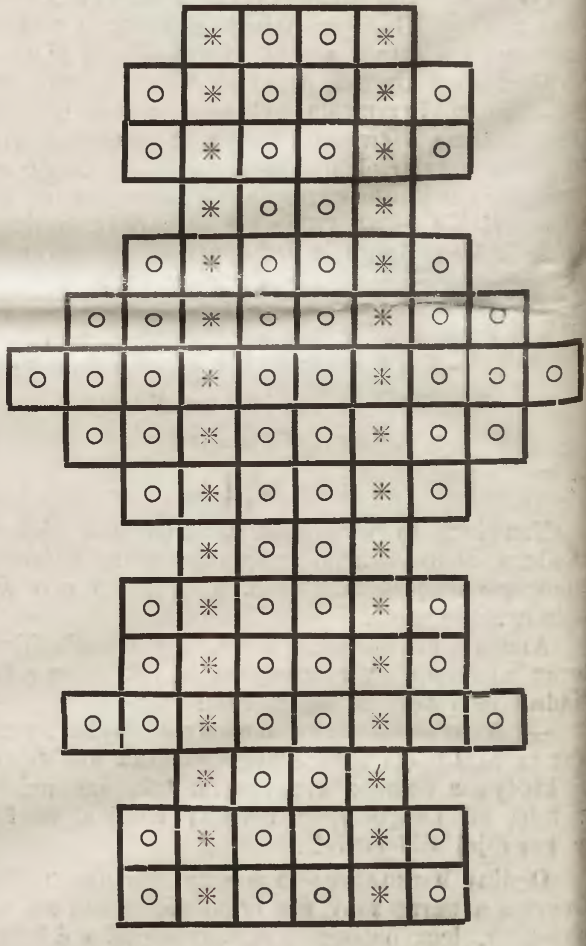
Z niżej podanych 22 zgłosek utworzyć 9 słów, który[ch] litery początkowe, czytane z góry na dół, dadzą nazwis[ko] autora, a końcowe, czytane w tymsamym kierunku, tytuł p[o]wieści, drukowanej w popularnym polskim tygodniku.

Zgłoski są następujące: chu, czów, cy, dzaj, e, ga, gr[...] grab, i, ko, kran, li, me, ni, o, ro, ro, rzec, sło. u, wo, z[...]

Znaczenie wyrazów: 1. Drzewo leśne. 2. Bohater słynn[ej] tragedyi Szekspira. 3. Inaczej pomyślne żniwa 4. Inacz[ej] wyraz. 5. Miasto w Galicyi. 6. Ozdoba pokoju. 7. Warstw[a] wielkomiejskiej ludności rosyjskiej, znana z ostatnich w[y]padków w caracie. 8. Miara zboża. 9. Imię męskie.

Zagadka.

Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, ab[y] gwiazdki, czytane z góry na dół utworzyły imię i nazwis[ko] oraz tytuł naczelnika jednego z państw europejskich.



Znaczenie wyrazów: 1. Rodzaj galaru, używany do prze[...] wożenia ludzi, fur i bydła na rzekach. 2. Góra w Ma[łej] Azyi, znana z Pisma św. 3. Turecka nazwa ucieczki Mah[o]meta, a więc początku ery mahometańskiej. 4 Skała, oder[...] wana od góry. 5. Kręta linia. 6. Imię żeńskie zdrobnia[łe]. 7. Postać znana w Tatrach. 8. Przydomek bohatera woje[n] krzyżowych, Gotfryda de Builon. 9. Nazwisko naczelne[go] wodza kozaków zaporoskich. 10. Mała wieżyczka w sty[lu] gotyckim na większych budowlach. 11. Rodzaj lekarst[w] aptecznych. 12. Rzeka w Senegambii. 13. Najbardziej han[...]dlowe miasto w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki. 14. Inaczej urok. 15. Inaczej wydech. 16. Założyciel ser[b]skiej dynastyi Obrenowiczów.

Dla ułatwienia rozwiązania podajemy obok zgłoski, z któ[...]rych należy utworzyć powyższe wyrazy Są one następując[e]: a, a, al, al, bia, czar, dnik, dwi, fi, fy, gam, gi, gzak, h[...] ja, jaf, kro, łosz, man, mi, mont, nia, pan, ple, prom, pr[...] ra, ra, rat, re, ta, wo, wy, ziew, złom, zy.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagad[ek] przeznacza redakcya **dwa funty herbatników** z cukier[ni] lwowskiej Jana Michalika w Krakowie.